

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

W. GODEK

WFM czeka na praktykantów

Wiele mówiono o praktykach na zebraniach zarządów wydziałowych, w czasie dyskusji w grupach i kołach zetempowskich nad listami z „Ursusa” i Kędzierzyna opublikowanymi w POPROSTU.

„Praktyki w roku bieżącym winny być o wiele lepsze niż w latach ubiegłych” — takie zdanie coraz częściej spotyka się na uczelniach. Nic dziwnego. Praktyki, to poważny instrument wychowania młodych inżynierów na jakich czekają „Ursus”, Kędzierzyn i tysiące innych zakładów przemysłowych w Polsce.

UCZYMY SIĘ NA DOŚWIADCZENIACH Z LAT UBIEGŁYCH

Niestety, doświadczenia te, zwłaszcza w roku ubiegłym wykazywały, że praktyki nie były należycie doceniane i wykorzystywane. I to zarówno przez studentów jak i zakłady pracy.

Wystarczy przytoczyć praktyki wakacyjne studentów Politechniki Warszawskiej w „Ursusie” i Starchowicach w roku ubiegłym. Studenti bardzo często urządzali sobie z nich „wakacje”. Nierzadkie też były wypadki wręcz chuligańskich wybryków. W rezultacie praktyki nie dały prawie nic tym studentom.

Zakłady pracy nie dbały o właściwe wykorzystanie praktyk przez studentów. Przydzielali im prace administracyjne, nie mające nic wspólnego z produkcją. Zatrudniali ich jako pracowników półetatowych w jednym dziale. Często nie kontrolowano pracy, po prostu nie interesowano się nią. Nie otaczano studentów polityczną opieką. Organizacja partyjna i zetempowska „nieostrzegali” istnienia praktykantów w swym zakładzie.

A praktykanci skarżyli się na złe warunki mieszkaniowe, sanitarno-

higieniczne, niedostateczne wyżywienie itp.

Z tych wszystkich doświadczeń nasuwa się obecnie jeden podstawowy wniosek: zakłady pracy i uczelnie powinny przygotować się do praktyk wakacyjnych przed końcem roku akademickiego, a więc w maju i czerwcu.

Czy tak jest?

Żeby się o tym przekonać, odwiedziliśmy Warszawską Fabrykę Motocykli, w której ma odbyć praktyki około 60 studentów Politechniki Warszawskiej i Politechniki Wrocławskiej, SGPiS, i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

WFM MA DOBRĄ TRADYCJĘ...

Mówił o niej kol. Nowak na naradzie studentów wydziału samochodów i ciągników PW z przedstawicielami zakładów pracy. — Z praktyki w ubiegłym roku wynieśliśmy dużo — mówił kol. Nowak. Tak rzeczywiście było. Z wielką serdecznością zainteresowała się młodymi praktykantami dyrekcja, komitet partyjny i organizacja zetempowska.

Zapoznano ich z pracą i problemami fabryki, powiedziano o roli i zadaniach inżyniera w zakładzie pracy. Wciągnięto ich w całokształt życia fabryki. Kierownictwo zakładu przestrzegało starannie harmonogramu praktyk, tak, by każdy student zapoznał się z całym cyklem produkcyjnym, by zgodnie z planem zajęć przechodził od działu, do działu.

Praca studentów nie kończyła się jednak na zajęciach warsztatowych. Praktykanci brali żywy udział w pracy organizacji zetempowskiej, pomagając kołom oddziałowym i zarządowi fabrycznemu. Utworzyli grupę agitacyjną, która wyjaśniała sens i istotę racjonalizacji, norm pracy, propagowała metodę Zan-

darowej itp. Studenti organizowali życie kulturalne załogi przez propagowanie czytelnictwa, dyskusje, wieczorki świetlicowe, akademie. Pomagali również w redagowaniu gazetki ściennych. Uczyli młodych robotników przedmiotów teoretycznych, pomagali im w opracowywaniu wniosków racjonalizatorskich.

Raz w tygodniu odbywały się ogólne zebrania, na których praktykanci przedstawiali swoje uwagi i życzenia. Codziennie rano odbywały się krótkie narady starostów poszczególnych grup wraz z kierownikiem praktyk. Pracę i postawę praktykantów omawiano na naradach produkcyjnych u dyrektora naczelnego, na egzekutywie komitetu partyjnego, zebraniach zarządu fabrycznego ZMP. Ścisła i surowa kontrola praktykantów, wzajemna wymiana uwag ze strony studentów i zakładu przyczyniły się do tego, że praktyki w WFM były dobrze wykorzystane przez studentów i fabrykę.

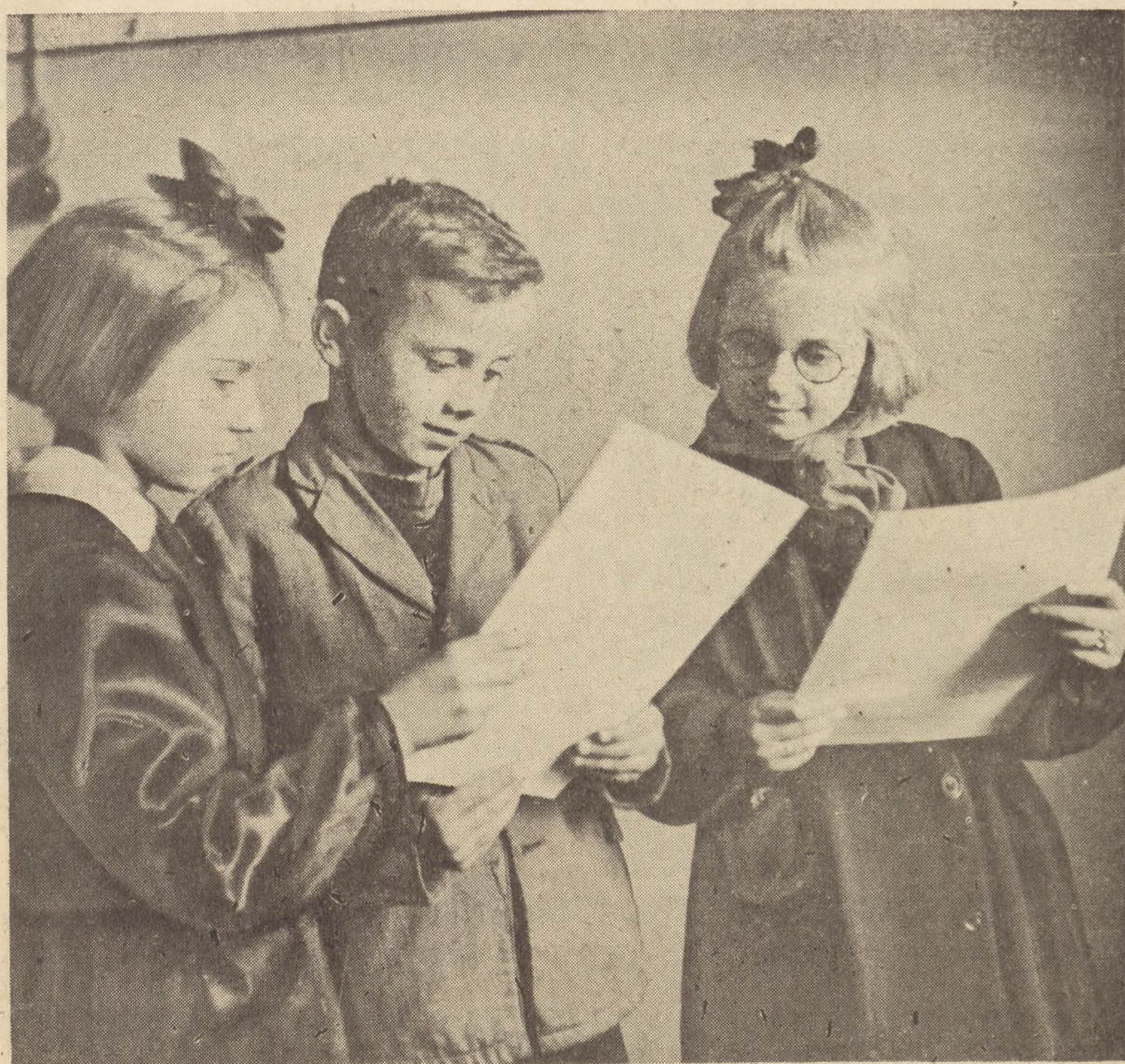
I W TYM ROKU BĘDZIE DOBRZE

Obecnie kierownictwo WFM już myśli o praktykach wakacyjnych. Kierownik praktyk wspólnie z dyrektorem, komitetem partyjnym i zarządem fabrycznym rozpoczynają szeroką pracę przygotowawczą. Przede wszystkim trzeba pomyśleć o dokładnym opracowaniu z uczelniami i kierownikami działów harmonogramów praktyk. Kierownicy działów muszą się bowiem przygotować do pracy z praktykantami. W czerwcu praktyki wakacyjne omawiane będą na naradach produkcyjnych u dyrektora naczelnego, zebraniach POP i zebraniach zarządu fabrycznego ZMP. Sprawa ta będzie również przedmiotem obrad Rady Zakładowej i Klubu Racjonalizatorów.

Nie bez znaczenia są warunki bytowe młodych praktykantów. W ubiegłym roku praktykanci skarżyli się na stołówkę. Obecnie wyżywienie poprawiło się znacznie, tak, że praktykanci nie będą mieli zapewne powodów do skarg. Przygotowuje się również klub fabryczny, by studenci mogli przyjemnie spędzić wolny czas.

Praktykanci zostaną otoczeni opieką przez komitet fabryczny partii i organizację zetempowską. Grupy partyjne i koła zetempowskie czuwać będą nad racjonalnym wykorzystaniem praktyk. Towarzysze

(Dokończenie na str. 7)



Ci przodujący pierwszorzeczniacy (tym razem ze szkoły podstawowej) po zakończeniu roku szkolnego dostali świadectwa z oceną... wystarczy spojrzeć na ich miny. Oby i nasze oceny były równie dobre.

Foto CAF-Wierucki

Z OKAZJI ROZPOCZYNAJĄCEJ SIĘ SESJI WSZYSTKIM NASZYM CZYTELNIKOM ZGODNIE ZE STARĄ STUDENCKĄ TRADYCJĄ ŻYCZYMY „SKRECENIA KARKU”

REDAKCJA

BARBARA KAŁAMACKA

Trudne zwycięstwo

Zdarzenia, które zamierzamy tu opisać, są autentyczne i miały miejsce na jednej z naszych wyższych uczelni. Podajemy je z nieznacznym przekształceniem szczegółów nie naruszając oczywiście meritum sprawy. Zmieniliśmy również wszystkie nazwiska. Nie chodzi bowiem o to, by wskazać palcem naszych bohaterów, lecz by na przykładzie przeżyć Wiesława Mokrzyckiego, zastanowić się nad ważnym problemem.

Awanturnia na dworcu była tak przysłowiową kropką, która przepełniła miarę. Podobno zaczęło się od tego, że Wiesław, będąc już dobrze pod gazem, zawarł znajomość z jakimś podróżnym oczekującym swego pociągu. Nieznajomy okazał się człowiekiem b. interesującym. Posiadał mianowicie tak silne szczęki, że mógł bez trudu podnieść z ziemi na wysokość swego wzrostu dorosłego mężczyznę jedynie przy pomocy zaciśniętych na jego pasku od spodni zębów. Wiesław nie dowierzał:

— Zalewaz pan, za pasek od spodni?

— Panie, bo się obrażę! Chcesz się pan przekonać?

Zakład stanął o 2 butelki wina i był tym ryzykowniejszy, że kieszenie Mokrzyckiego świeciły pustkami. Kiedy więc przyszło doręczyć nieznajomemu wygraną, spór przy-

brał na tyle gwałtowny charakter, że interwencja milicji okazała się niezbędna. Spisano długi protokół, a Wiesław powędrował do komisariatu.

Na uczelni zawrzało. Tego już tolerować nie można. Kompromitacja dla szkoły, dla organizacji. Na zwołanym czym prędzej zebraniu grupy zetempowskiej padły ciężkie słowa potępienia i okragłe frazesy. Wiesłowski szumiło w głowie. Upokorzenie przybrało postać piekącego, dokuczliwego bólu. Spoconą drżącą dłoń przyglądał nerwowo włosy i za wszelką cenę starał się nadszć swojej twarzy wyraz doskonałej obojętności.

Pił, wiadomo, że pił. Czyż sam o tym nie wie? Czy sam nie wie, że to złe? Ale, który z nich nie pił, który z tych jego dzisiejszych sąsiadów? I Turek, i Wajda, to wierni kompani do kieliszka. Ostatnia libacja, jaką Wiesław urządził tydzień temu za pieniądze uzyskane ze sprzedaży marynarki, zgromadziła wyborowe towarzystwo, w którym znaleźli się tacy luminarze grupy, jak Sękowski, Rataj, Justyński, nawet zetemporg Kowalski. Pił z nim wszyscy — a dziś...

Tak, Władek Romanowski nie pił, w każdym razie rzadko i niewiele. I oto on jeden mówi inaczej. Przypomina, że Wiesław uczy się dobrze, że chętnie i dużo pracuje społecznie. On, Władek, jest głęboko przekonany, iż Wiesław to uczciwy, dobry chłopak. Tylko ta nieszczęsna wódka... Ale w tym wypadku nie tylko Mokrzycki ponosi winę.

Inni piją po cichu, skrycie, przy zamkniętych drzwiach. Wiesław rozrabia, i to cała różnica — kończy Władek z wyraźnym rozdrażnieniem.

Wnioski z dyskusji wysuwane z zażenowaniem są niezdecydowane. Słowa Władka zburzyły patetyczny nastrój zebrania. Baka się coś o ostrej naganie — zresztą sprawa i tak będzie ostatecznie zdecydowana dopiero na zebraniu koła.

Wiesław wyszedł szybko nie oglądając się za siebie. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się w małej knajpce przy zacisznej, wąskiej uliczce. Zasiadł przy brudnym stoliku w rogu ciemnej salki i zapatrzył się w oszklony, wysoki bufet.

Ech, upić się, upić i zapomnieć o wszystkim... Głowa ciążyła i ciążyło w pierśi przepelnione bólem serce.

Te bufety barowe prześladowały go przez całe życie. Oto ciasna restauracja dworcowa w Mielcu, gdzie w 45 roku rozpoczął pracę jako 15-letni chłopak. Zajęcie miało tę dobrą stronę, że wypadło na godzinę wieczorną. Nie kolidowało więc z nauką w szkole, a zapewniało jakieś utrzymanie. A i potem w Krakowie, kiedy jako ekstern przygotowywał się już do dużej matury, pracował „za bufetowego”. Można było przywyknąć do wódki... okazji nie brakowało. Nie wydawało się, to z początku takie

złe. Mało to porządných, ba, nawet wybitnych ludzi popija? Wiadomo, jak ktoś szuka dla siebie usprawiedliwienia to i znajdzie. Ale właśnie, dlaczego szuka? Otóż to. Wie się, dobrze się wie, że niedobrze, że trzeba by z tym skończyć. Człowiek rozkleja się, rozmięka jak smata. Więc zaczął inaczej, jest się przecież zetempowcem, studentem i tak dalej.

To nowe życie zaczynało się zawsze od poniedziałku. Najchętniej od poniedziałku w drugiej połowie miesiąca, kiedy to nawet na „Sporty” brakuje. Ale zwykle już w piątek koledzy organizowali niedzielną wyprawę do lokalu. Wiesław proszono do kompanii nawet wtedy, gdy „grochem nie śmierdział”. Pod rauszem miewał świetne pomysły — bawił się towarzystwem. Potem należało się zrewanżować — tego wymagała szczególnego pokroju ambicja. Więc dopiero po kilku tygodniach znowu przychodził poniedziałek mocnych postanowień... Ile było tych poniedziałków? Ile złamanych sobie samemu przyrzeczeń? Tymczasem wódka stawała się potrzebna jak chleb, jak papieros.

*

Zebranie koła przemieniło się w masówkę. Wziął w niej udział rektor, dziekan, profesorowie. Odczytano protokół milicji. Mówiono o honorze uczelni, o słabym oddziaływaniu organizacji na studentów. Analizowano głęboko i słusznie sprawę Wiesława.

Mokrzycki siedział jak na rozżarzonych węglach. Wiedział co go czeka, rozumiał, że nie można postąpić inaczej, sam głosowałby „za”. Nagle błędząc oczami po sali napotkał utkwiony w siebie wzrok Pierackiego.

— Co tu robisz, ten łobuz? — zdumiał się Wiesław przypominając na ulamek sekundy o swoim położeniu. Pieracki został niedawno wydalony z partii i zawieszony w czynnościach studenta za niemoralne prowadzenie się. Był to chłopak do gruntu zepsuty i zdeprawowany. Cała uczelnia miała o nim wyrobione zdanie, choć przybył tu dopiero przed trzema miesiącami.

Na widok podnoszących się wokół rąk Mokrzyckiego oprzytomniał. Wniosek przeszedł jednomyślnie. Jeszcze formalność, ta najprzykrejsza... Wiesław oddał przewodniczącemu wyszarpniętą z kieszeni legitymację i powoli, nie patrząc na nikogo, wyszedł. Czuł, że odprowadza go do drzwi kilkadziesiąt spojrzeń, od których garbiły się plecy i ugiwały kolana.

By progiem przystanął i sięgnął by otworzyć okno. Chłodny powiew zimowego wiatru rozrzucał mu włosy nad czołem. Za plecami Wiesława skrzypnęły cicho drzwi. Ktoś położył mu rękę na ramieniu.

— Nie martw się, przyjacielu... Żyje się i tak, nawet nieźle, słowo honoru... — bezzębna gęba Pierackiego rozjaśniła się uśmiechem. Wiesław nie odpowiedział, ale jego mina była widocznie dość wymowna, bo Pieracki zrezygnował z dalszych słów pociechy i wykręcał się na pięcie odszedł gwizdząc przez zęby.

(Dokończenie na str. 5)

Czy będą w terminie?

Wchodzimy w okres gorących dni. Dziesiątki tysięcy słuchaczy różnych kierunków studiów dokonują ostatecznego przeglądu przerobionego w ciągu roku materiału.

W tym samym czasie ich młodzi koledzy przeżywają największe emocje w swym dotychczasowym życiu. Znajdują się na finiszu pierwszego etapu — niebawem otrzymają świadectwo dojrzałości. Prawie wszyscy już zgodnie ze swoimi uzdolnieniami i zamilowaniami dokonali wyboru kierunku dalszych studiów. Do murów wyższych zakładów naukowych przyjdzie w przyszłym roku akademickim z miast, miasteczek i najodleglejszych wsi tysiące córki i synów robotników, chłopów i inteligencji.

Państwo ludowe jak co roku od dawna już czyni przygotowania na przyjęcie tego nowego zastępu przyszłych specjalistów. Troszczy się o stworzenie im jak najlepszych warunków nauki i bytu. Wyraża się to m. in. w przygotowywaniu dalszych 10 000 miejsc w nowobudowanych, w pełni odpowiadających wymogom życia studenckiego domach i osiedlach studenckich.

Prawie w każdym środowisku wyrastają mury nowych budynków, których łączna liczba wynosi 18. Wydawałoby się więc, że sprawa jest rozwiązana; zwiększy się ilość studentów, zwiększy się i ilość pomieszczeń.

Ale nasuwa się tu jednak pytanie: czy terminy oddania do użytku nowych domów studenckich są zbieżne z terminem rozpoczęcia roku akademickiego? Odpowiedzi, jakie otrzymujemy, są niezbyt pocieszające. W wielu ośrodkach jak np. Lublin, Warszawa, Kraków, termin pierwszego września jest mocno zagrożony. A dzieje się tak dlatego — jak tłumaczy ZO — że wykonawcy tj. poszczególne zjednoczenia budowlane są bardziej zainteresowane w szybszym oddaniu do użytku tzw. domów ZOR-owskich i słabo zapatrują budowy DS w materiały budowlane.

Zajrzeliśmy w połowie maja na poszczególne budowy, zapoznaliśmy się z sytuacją i istniejącymi jeszcze możliwościami nadrobienia czasu.

W WARSZAWIE... Przy ulicy Kiekiego na Grochowie znajdują się w budowie dwa bloki. Blok A jest już gotowy w stanie surowym, prowadzone są prace wykończeniowe. Roboty tynkarskie chwilowo przerwano, gdyż nie było na budowie ani jednego tynkarza. Sprawa ta nie budzi jednak obaw, budynek bowiem będzie oddany do użytku 15 sierpnia. Gorzej jest z blokiem B, którego wykonczenie również było przewidziane na koniec sierpnia. ZBM 7 twierdziło, że nie jest w stanie oddać nawet połowy budynku w oznaczonym czasie, ustalając nowy termin na listopad br., a nawet luty 1955. Dopiero na konferencji, która odbyła się w Departamencie Inwestycji Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, pod naciskiem gorących prób i mocnych argumentów, przedstawiciele ZBM 7 zgodzili się (wprawdzie pod pewnymi warunkami) na przyspieszenie terminu i oddanie połowy bloku B do użytku w końcu września br.

Gorące prośby i mocne argumenty zainteresowanych nie dotarły jednak do dyrekcji ZBM 4, która wbrew zdaniu załogi i kierownictwa budowy przy ul. Ks. Janusza, nie chciała zgodzić się na wykończenie budynku w terminie. Trzeba było aż interwencji Komitetu Warszawskiego dla przewyższenia upartego stanowiska dyrekcji ZBM 4.

W KRAKOWIE... W budowie znajdują się trzy domy studenckie. Dwa z nich przy ul. Racławieckiej, jak przewiduje ZBM, zostaną oddane do użytku z końcem października i listopada. Czy nie ma możliwości na przyspieszenie tych terminów? Kierownik budowy ob. Marian Gzik odpowiadał na to pytanie raczej niechętnie, starając się uspokoić nas banalnym zapewnieniem: zrobimy wszystko co będzie w naszej mocy.

Chcemy wierzyć kierownikowi Gzikowi, ale stwierdzić trzeba, że harmonogram i tablice na budowach głoszące terminy października i listopada nie są wcale mobilizujące.

BRAK TROSKI

Wiele jest jeszcze przyczyn, hamujących tempo budowy. Między innymi fakty, że Zjednoczenia Budowlane nie wykazywały dostatecznej

(Dokończenie na str. 7)



Z nadejściem wiosny rozpoczęły się Uczelniane Spartakiady. Oto kol. Ela Galabuda, która wygrała skok w dal zdobywając dalsze punkty dla wydziału przyrodniczego Uniwersytetu im. Bolesława Bieruta. O studenckich Spartakiadach czytaj na str. 8

Prawo milczej selekcji



RECE DO GORY! Częścią prawdziwego stroju cowboja jest Colt. Jednak żeby umieć błyskawicznie zeń strzelać, Klaus musi jeszcze troszkę poćwiczyć. Natomiast rzućcie lassem opanował już całkowicie.

Limburg (dpa). W Staffel, powiat Limburg, pewien 8-letni chłopiec zastrzelił z wiatrówki swego 11-letniego towarzysza zabawy. Kula trafiła stojącego w pobliżu kolegę prosto w serce. Umarł on w kilka minut potem. (...) Zamieszczony powyżej fotomontaż przedstawia okładkę dodatku dziecięcego do zachodnioniemieckiego pisma „Der Stern” oraz wycinek z gazety „Badische Neueste Nachrichten”.

W czwartek, dn. 25 marca br. o godz. 19.30, clemnoniebieska takśówka wjechała na teren Berlina zachodniego. Gdy zatrzymała się przy Heidestrasse 53, wysiadło z niej dwójce dzieci, z których jedno trzymało na ręku trzecie — w pieluszkach. Jakąś starszą kobietą rzuciła się ku nim z płaszczem. Takowska odjechała, a oni weszli w cuchnącą brzoję brudnego domu.

Tak wyglądał epilog tragedii, której „bohaterami” byli: 14-letni Wolfgang Bardt i jego siostra przyrodnia Edelgard Schulze, 17-letnia matka dziecka urodzonego przed tygodniem w Berlinie demo-

kratycznym. Gdzież tu tragedia? — spytaście. Otóż postuchajcie:

Edelgard mieszkała w Berlinie zachodnim, wraz ze swoją matką. Gimnazjum nie ukończyła, gdyż nie miała za co, pracy nie zdobyła, gdyż nie było gdzie. Siedziała więc po prostu w domu, a w przerwach od zmarła marzyła o tym wybranym, który kiedyś zjawi się w jej życiu. I wtem pewnego kwietniowego dnia ubiegłego roku wstąpiła do restauracji „Pflume” w skale napić się piwa. Poznała tu pewnego eleganckiego mężczyznę, który przedstawił się jej jako Walter Breitel, lecz oczywiście prze-

liczył, że ma żonę oraz kilkoro dzieci. Błyskawicznie natychmiast pełnym „Wesimarek” i zaprosił dziewczynę na spacer własnym Mercedesem.

Tak się zaczęło. Jednak dalszy ciąg nie potoczył się normalnie, według brzywych tematów drobniomieszczańskiego romansu. Bo oto, gdy podczas podróży po Niemczech zachodnich, Edelgard wyznała swemu przyjacielowi, że jest w ciąży. Breitel dopiero przystąpił do „sprawy”. Nie porywając się zbytnio postawił swą ofiarę wobec alternatywy: — Albo będziecie pracować dla nas, albo zostawicie cię na ulicy. Wybieraj.

— Dla wolności świata. Przeciw czerwonym. Rozumiesz?

Jeśli Schulze wiedziała jeszcze nie wszystko, to wiele z tych spraw wytłumaczył jej szef pewnego obcego wywiadu, do którego wraz z Breitelem przyjechała. „Szef” obiecał jej najpierw złote góry, a później skierował na „robotę” do NRD.

Edelgard kazano zwerbować do tej roboty Wolfganga Bardta. I oddał co kilka dni otrzymywał nowe polecenie: to uścisnąć przy torach (któż będzie zwracał uwagę na dwójce dzieci!) i liczyć podłogi, to podrzucać ułotki, a wreszcie — robić szkice wskazanych obiektów. Edelgard mówiła, że nie może dłużej, że ciąży, że nerwy. Breitel był nieugięty.

Aż w końcu stało się to, co było nieuniknione. Dwoje szpiegów zostało aresztowanych podczas „roboty” w Potsdam — Neditz. W kilka tygodni później sędzia śledczy bezpieczeństwa publicznego NRD zwołał dwójce dzieci z aresztu. W uzasadnieniu tej decyzji znalazły się na pewno takie słowa jak „młody wiek”, „szantaż”, „ciężkie warunki życiowe”.

Naturalnie, takie historie jak z Edelgard nie należą do częstych.

Jednakże dzieje tej młodej dziewczyny w sposób najbardziej jaskrawy weszły do czegoś w najdłuższych konsekwencjach prowadzi stałe pogarszanie bytu młodzieży zachodni-niemieckiej w warunkach odradzającego się hiteryzmu. Pokazują one drogę degeneracji młodzieży pozbawionej często szkół i pracy, nieskiej, niezdolnej do walczenia się ruderach.

Część młodzieży zachodni-niemieckiej — najmniej odpornej, — wpada w łapy szpiegów, hochszaplerów i sutenerów. Druga jej część, stojąca na przeciwnym biegunie i coraz bardziej licząca, pod przewodnictwem KPD i FD, walczy aktywnie z narażeniem własnego życia i wolności z reżimem faszystowsko-okupacyjnym — przeciw zbrojeniom i terrorowi, o jednoś Niemiec i własne prawa, o pokój. Warunki życia wielu milionów młodych Niemców z Trizonii są bardzo trudne. Jaką przyszłość stoi np. przed Jürgenem Braun z Hannoveru, który jako terminator musi pracować 16—18 godzin na dobę za trzy marki tygodniowo? Czy ma czas i pieniądze na naukę, pomijając już nawet życie prywatne? Jakże możliwości nauki mają dzieci 70 proc. wszystkich zatrudnionych, którzy zarabiają poniżej 200 WM miesięcznie? To starcza ledwie na marną vegetację. Tymczasem ceny rosną, podatki również, a fundusze na szkolnictwo spadają, gdyż Adenauer potrzebuje pieniędzy na Wehrmacht. Sytuację jej ujał w japońskim, lecz jakże wymownym stwierdzeniu prof. Siegfrieda Goettingera, który na łamach Nuernberger Zeitung pisał: „Jeśli prawdą jest, że głód to najlepszy bodziec do nauki, to wobec tego przed nauką niemiecką roztaczają się najlepsze perspektywy”.

Obraz ten może nam dać pewne pojęcie o sznaskach, jakie posiada przeciętny młody człowiek w Trizonii, by dostać się do szkoły wyższej. Tam się spotka z innymi, równie ogromnymi trudnościami. Ale już teraz, zanim jeszcze stanął przed bramą uniwersytetu, podlega działaniu prawa milczej selekcji, która do wyższej wiedzy dopuszcza tylko bogatych, a ustępuje jedynie wobec nielicznych wprost wyrzeczów, siły woli i charakteru.



475 milionów dolarów wydał już rząd USA na ponowne uzbrojenie zoldackiej armii Czaung Kai-szeka, organizowanej znów na Tajwanie. Widocznie Pentagon udzielił się, że dolar jest niepokonany. Czyżby zapomniał już o tych 6 miliardach, które utopił popierając Kuomintang w jego walce przeciw ludowi chińskiemu? Czyżby zapomniał, że w Korei nie pomógł nawet napalm? Jeśli tak, to przypominamy. Przypominamy również o tym, że za porwanie polskich statków i gwałt wobec polskich obywateli trzeba będzie odpowiadać.

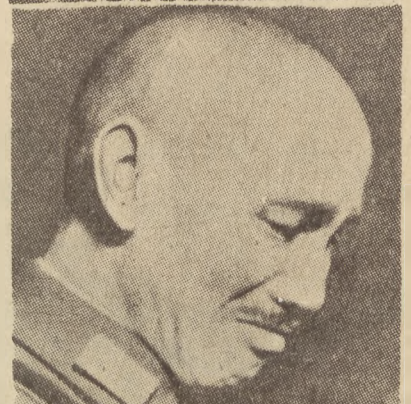


Napaść czangkaiszekowców na polski statek handlowy „Gottwald” stanowi zaledwie jedno z ogniw długiego łańcucha pirackich napadów na statki

handlowe, dokonanych w ostatnim czasie na wodach Dalekiego Wschodu. 31 lipca 1953 r. napadnięty został przez czangkaiszekowców włoski statek „Marilu”, w sierpniu i październiku tego samego roku podobny los spotkał szereg statków duńskich, greckich, fińskich i brytyjskich. 4 października 1953 roku, jak wiadomo, został uprowadzony w bandycki sposób polski statek „Praca”.

Prawo międzynarodowe określa tego rodzaju rozbójnictwo morskie mianem piractwa, przez które rozumie się akty gwałtu dokonane na pełnym morzu przez statki i ich załogi w stosunku do innych statków i załóg. Tego rodzaju definicja piractwa opiera się na praktyce państw oraz orzeczeniach sądowych. Zawarta jest ona między innymi w projekcie konwencji w sprawie piractwa — opracowanym w 1926 r. przez podkomitet ekspertów Ligi Narodów.

Piractwo jest uznane przez prawo międzynarodowe za zbrodnię podlegającą powszechnej represji. Już od wieków uważano piratów za wrogów całej ludzkości. Szereg przepisów przeciwko rozbójnictwu morskiemu zawierało prawo rodyjskie z XIV wieku p.n.e. W 67 roku przed n.e. wydano w Rzymie tzw. „lex Gabinia”, które przewidywało podjęcie szeregu środków przeciwko piractwu na Morzu Śródziemnym. Podobne przepisy zawarte zostały w pochodzących z późniejszego okresu zbiorach zwyczajów „Barcelonańskiej księgi sądowej morskiej” (Consolato del Mare z XI w.), w tzw. zwitkach oleronńskich (z XIII w.), w tablicach z Wisby (XV w.) itd. W późniejszym okresie kiedy walka o drogi morskie między Holandią, Hiszpanią, Portugalią i Anglią doprowadziła do wysunięcia i utrwalenia się zasady wolności mórz, zagrożenie zwalczania piractwa nabrało szczególnej wagi. Przepisy dotyczące karania piratów zostały włączone do ustawo-



Tych dwóch ludzi — to jeden i ten sam Czaung Kai-szek. Zdjęcie u góry przedstawia go takim, jakim był w roli gniebielcy ludu chińskiego Zaiosna mi na drugim zdjęciu, dokonanym już na Tajwanie, nie powinna jednak nikogo zmilczyć. Nie wyczyli się wcale swych dyktatorskich zapędów. Lecz możliwości jakimi jeszcze dysponuje są tylko na skalę pospolitego rozbójnika.

Mgr ANDRZEJ SKOWRONSKI
asystent Katedry Prawa
Międzynarodowego UW

dawstwa poszczególnych państw a między innymi i Stanów Zjednoczonych (Criminal Act z 1790 r.).

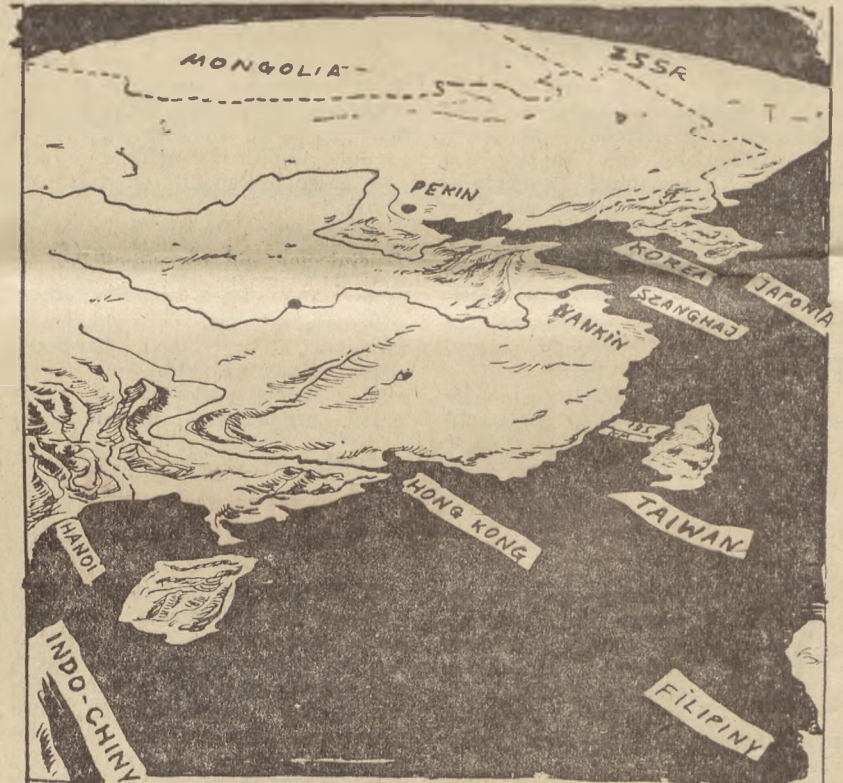
W najnowszych czasach zasada powszechnej represji w stosunku do piratów znalazła swój wyraz w rezolucjach o wojnie morskiej, podjętych na Konferencji w Waszyngtonie w 1922 roku oraz w układzie z 1937 r. z Nyon, do którego przystąpił również Związek Radziecki.

Uznanie piratów za wrogów całej ludzkości jest równoznaczne z postawieniem ich poza nawias prawa. Każde państwo może ścigać piratów i karać ich zgodnie z przepisami własnego prawa, umożliwiając równocześnie rewindykację towarów i przedmiotów, będących własnością osób trzecich a zarobkowych przez piratów.

Piracka napaść na polskie statki handlowe stanowi jaskrawy przykład pogwałcenia utrwalonej w prawie międzynarodowej zasady wolności mórz i wolności żeglugi, z których wynika, że każde państwo ma prawo swobodnego użytkowania pełnego morza oraz że statki na pełnym morzu podlegają wyłącznie jurysdykcji państwa bandery z wykluczeniem prawa innych państw. Jak wiadomo, zasada ta została wysunięta a następnie rozwinęta przez same państwa kapitalistyczne. Przykłady naruszania tej zasady w epoce imperializmu, a szcze-

gólnie po II wojnie światowej przez Stany Zjednoczone, świadczą o słuszności tezy Lenina, że państwa imperialistyczne w dążeniu do panowania nad światem łamią tę praworządność, którą same kiedyś stworzyły.

Fakt, że w gangsterskim rozboju na wodach Dalekiego Wschodu brały udział samoloty amerykańskie świadczy bezspornie, że odpowiedzialność za ten nowy piracki napad spada w całej pełni na rząd Stanów Zjednoczonych, który, jak wiadomo, sprawuje faktyczną kontrolę nad Tajwanem i bandami kuomintangowskimi, zaopatrując je w sprzęt wojenny. Po spaleniu na panewce prób ustanowienia blokady gospodarczej Chin Ludowych, imperialiści amerykańscy mają się wszelkich środków, aby zrealizować swoje cele, nie wahać się przed organizowaniem najbrutalniejszego rozboju i gangsterstwa. Liczne napaści na statki na wodach Dalekiego Wschodu świadczą — jak to podkreśliła nota polska z 15 maja br. — o utworzeniu ośrodka gangsterskiego, którego dalsze istnienie zagraża międzynarodowemu pokojowi i bezpieczeństwu i które utrudnia rozwój międzynarodowych stosunków handlowych z krajami Dalekiego Wschodu. Dowodzi to, że Stany Zjednoczone nadal prowadzą politykę zaostrowania sytuacji międzynarodowej. W okresie kiedy ludzie całego świata śledzą z uwagą i uczuciem ulgi Konferencję Genewską, każdy przejaw przez same państwa kapitalistyczne. Przykłady naruszania tej zasady w epoce imperializmu, a szcze-



wyspa TREDOWATYCH

Spójrzcie na mapę. Ogromny kontynent przecięty wstęgami tysiąckilometrowych rzek. Jeśli przypatrzyć mu się bliżej, ujrzycie jedną wielką budowlę, na rusztowaniach której uwija się 500 milionów ludzi, oddanych twórczej, pokojowej pracy. To Chiny Ludowe. Przesuńcie teraz wzrok nieco w prawo. O nie, za daleko. Najwyżej centymetr. W rzeczywistości odległość wynosi tylko 195 km. To Tajwan. Po portugalsku Formoza. Nie duża wyspa, należąca również do Chin, ale okupowana jeszcze przez Czaung Kai - szeka. A raczej przez Amerykanów, którym Czaung Kai-

szek zaprzedał siebie i 7 milionów mieszkańców tej wyspy.

Czego Amerykanie szukają na Tajwanie, który leży po drugiej stronie Oceanu Spokojnego? Odpowiedź prosta — bazy wypadowej przeciw Chinom Ludowym. Nie udało się „eksperymentu” koreański, Indochiny jako przyczółek agresji są już tylko pobożnym życzeniem, Japonia leży trochę za daleko, a więc pozostaje ostatnia „szansa” — Tajwan.

Tylko szaleńcy mogą co prawda myśleć serio o planach zawojowania 500 milionowego narodu przy pomocy 500 tysięcznej armii najemnej. Ale nie należy tych szaleńców lekceważyć. Zanim nie zostaną przepędzeni, mogą jeszcze dużo zła wyrządzić — jak wykazują fakty porwania dwóch polskich statków handlowych „Praca” i „Gottwald” — nie przepuszczają oni żadnej sposobności zaognienia stosunków międzynarodowych.

Nie ma wątpliwości co do tego, że inspiratorami tych bezczelnych i nikczemnych aktów agresji wobec polskiej flagi są koła rządzące USA, które przygotowują nową wojnę światową, wykorzystując również Czaung Kai - szeka jako narzędzie prowokacji. Nie na darmo wybitne osobistości, z Senatu, Białego Domu i Pentagonu coraz częściej zjeżdżają na Tajwan.

Porwanie statku „Gottwald” — a nie jest przypadkiem, że nastąpiło ono w okresie konferencji genewskiej — wywołało w naszym narodzie falę ogromnego oburzenia i protestów. Również wiele wpływowych kół na Zachodzie potępia ten zbrodniczy wyciecz.

AL, ES,

STANISŁAW ALBINOWSKI

● Znajdź
Żeromskiego
i Tuwima
● Pytaj
o Nową
Hutę



Posyłam Wam gorące pozdrowienia w imieniu wszystkich członków naszego kółka nauki języka rosyjskiego przy Uniwersytecie w Tokio. Niedawno jeden z naszych kolegów pokazał nam Wasz list. Owe przyjacielski list z dalekiej Polski wywołał u nas powszechną radość — natychmiast nań odpowiadamy.

Przed wszystkim zapoznajmy się. Jestem studentem wydziału filologii, sekcji językoznawczej. Prawie samodzielnie nauczyłem się języka rosyjskiego, a w zeszłym roku rozpocząłem naukę języka polskiego. W skład naszego wydziału wchodzi różne sekcje. A więc: sekcja filologii, socjologii, psychologii, językoznawstwa, sekcja historii japońskiej, orientalistycznej i zachodniej oraz literatury japońskiej, anglo-amerykańskiej, niemieckiej, francuskiej, chińskiej, staroindyjskiej itd.

Niestety, nie istnieje u nas sekcja literatury rosyjskiej, choć wiele można znaleźć w naszej literaturze wpływów literatury rosyjskiej i radzieckiej. Wiele studentów pragnie poznać język rosyjski po to, aby móc zapoznawać się z przodującą nauką i kulturą kraju socjalizmu. Dlatego właśnie zorganizowaliśmy nasze kółko.

Jakby tu opowiedzieć Wam o naszym studenckim życiu? Jest ono niewesołe, trudne. Większość studentów nie może systematycznie korzystać z wykładów — po prostu dlatego, że zmuszeni są zarabiac na chleb, gdyż nie mają żadnego zabezpieczenia materialnego. Ale o tym opowiem Wam w następnym liście.

Opowiedzieć mi o Waszym życiu, nauce i wypoczynku. Napiszcie o Warszawie, o Waszym Uniwersytecie, o polskiej ludowej literaturze i sztuce, o planie 6-letnim. Wszystko to będzie dla nas niezwykle ciekawe. Szczególnie interesuje mnie polska literatura. Dotychczas przeczytałem kilka utworów Mickiewicza, Żeromskiego, Prusa, Sienkiewicza, Konopnickiej, Tuwima i innych. Ale

mimo wszystko wiem bardzo mało o pisarzach współczesnych i ich utworach, mówiąc o budowie podstaw socjalizmu w Waszym kraju.

W zeszłym roku otrzymałem od Rady Naczelnej ZSP kilka książek, w ich liczbie powieść Mariana Brandysa „Początek opowieści”. Książka ta bardzo mi się podobała i chciałem przeczytać więcej utworów Waszych współczesnych pisarzy.

Wspólnie z jednym z moich towarzyszy rozpoczęliśmy jednocześnie naukę języka polskiego i wywiązało się między nami gorące „współzawodnictwo socjalistyczne”. Z początku czytaliśmy razem „Wypisy z literatury polskiej XIX — XX w.”, wydane w Związku Radzieckim. Ale szybko zrozumieliśmy, że są one dla nas zbyt trudne; załatwiliśmy, że nie mieliśmy dobrego słownika. Wystużony już kieszonkowy słownik „Polish — English Dictionary” (wydany w 1916 roku!) był naszym jedynym pomocnikiem. Teraz, z wielkim trudem, dostaliśmy w końcu „Słownik polsko - rosyjski”, „Gramatykę polską” i inne polskie książki i podręczniki, (przez Anglię i Związek Radziecki). Prócz tego uważnie czytamy każdą notatkę o krajach demokracji, ukazującą się w prasie radzieckiej. (Bez porównania łatwiej można u nas dostać radzieckie pisma i gazety). Z dużym zadowoleniem przeczytaliśmy w „Prawdzie” informację o wynikach wykonania planu rocznego za 1953 rok.

Szczególnie zainteresowałem się Nową Hutą — na jej temat napiszcie, proszę, bardziej szczegółowo.

Umiemy już trochę czytać po polsku. Napiszcie list w Waszym ojczystym języku, bardzo nam to pomoże do jego lepszego opanowania. Oczekujemy Waszej odpowiedzi.

Niech żyje przyjaźń narodów polskiego i japońskiego!

T. KAWAKAMI

List powyżej opublikowany uostępniła nam kol. ELŻBIETA SO-SZYŃSKA, studentka UW, wydział filologiczny.

„Jak wilk na gwiazdach”

Inspektor kontrolny PSS w Ostrowiu Wielkopolskim ma pod swoją pieczę kilkadziesiąt sklepów najrozmaitszej branży. Ale tenże sam inspektor twierdzi, że na sprawach sklepów z tekstyliami czy wyrobami żelaznymi zna się „jak wilk na gwiazdach”.

Czyżby ten człowiek przypadkowo znalazł się na tym stanowisku? Nie, Witold Krzyżaniak — absolwent poznańskiej WSE — tam właśnie został skierowany, zgodnie z nakazem pracy. Rzecz jednak w tym, że niezgodnie ze specjalizacją, jaką obrał i ukończył na wyższej uczelni.

Krzyżaniak jest tylko jednym z trzynastu studentów z grupy specjalizacyjnej skupu produktów rolnych. Wszyscy oni specjalizowali się w tych zagadnieniach nie tylko na uczelni, ale również na praktykach, które odbyli w terenowych placówkach aparatu skupu. Na praktykach utwierdził się też w przekonaniu, jak ważna i potrzebna dla naszej gospodarki jest praca w obranej przez nich dziedzinie.

Łatwo więc wyobrazić sobie ich zdziwienie, gdy na komisji przydziału pracy dowiedzieli się, że nie mogą być zatrudnieni w swojej specjalności. Nie mogą dlatego, bo nie przewidują tego rozdzielni dla absolwentów poznańskiej WSE. Trzeba więc brać pracę gdzie indziej.

Taką to drogą specjaliści skupu produktów rolnych stali się kontrolerami sklepów tekstylnych, czy księgowymi w najrozmaitszych instytucjach nie mających ze skupem nic wspólnego. Taką to drogą z jednej strony aparat skupu nie dostał przygotowanych i chętnych do tej pracy ludzi, a z drugiej — ludzie ci mają dziś słusze powody do rozgoryczenia, do niezadowolenia z ukończonych studiów i ze swej obecnej pracy.

Niestety, nie są to wypadki sporadyczne. Mówi się nawet, że takie „zatrudnienie” absolwentów uczelni ekonomicznych jest bardzo „typowe”, każda WSE może dostarczyć tu dziesiątki przykładów. Na tej samej poznańskiej WSE podobny los spotkał 23 absolwentów z ukończoną specjalizacją rachunkowości przemysłowej; co prawda rozdzielnik przewidywał zatrudnienie ich w księgowości, ale... rolniej. W rezultacie wzięli tam pracę tylko cztery osoby, inni — znowu wybierali gdzie indziej.

Szczytowym „osiągnięciem” takiego „typowego zatrudnienia” jest chyba sprawa absolwentów sekcji pedagogicznej. Na te właśnie sekcję podczas studiów kierowano najlepszych studentów — przodowników nauki, aktywistów. I wła-

nie dla nich również „brakło” pracy. Na 26 absolwentów tej sekcji na wydz. finansowym — zgłoszone zapotrzebowanie tylko na 6 osób. Po interwencji Ministerstwa Finansów zatrudniło w swoich technikach zawodowych w sumie 10 osób i to dopiero od 1 września (co tymczasem ludzie ci mają robić przez całe pół roku — tym już Ministerstwo Finansów nie przejmuje się). Pozostali absolwenci sekcji pedagogicznych wórew swemu przygotowaniu i zamiłowaniu otrzymali przydziały do różnych banków, PSS czy... mieczarni.

Czyżby dla absolwentów uczelni ekonomicznych brakowało pracy? Nie, praca jest, wszyscy przecież zostają zatrudnieni, ale duża część spośród nich nie w swoich specjalnościach. Kto tu zatem winien?

W poszczególnych wypadkach raz winę ponosi Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, które nie zatroszczyło się, aby resorty zatrudniające absolwentów WSE zostały wystarczająco poinformowane o poszczególnych specjalizacjach studiów; innym razem resortowe ministerstwa nie potrafią zatrudnić absolwentów zgodnie z ich specjalizacją. A już największą winę ponosi tu chyba PKPG, która jest odpowiedzialna za koordynację obu tych czynników. Bo niestety z rozdzielników przydziałów pracy nie raz wynika, że sporządzający je urzędnicy znajdują na tych sprawach... tak, jak kolega Krzyżaniak na handlu gwoździarni.

Wszystko to nie byłoby tak niepokojące, gdyby nie stało się przyczyną nieraz dużych trudności życiowych absolwentów mających pracować wbrew swemu zainteresowaniu

i przygotowaniu, gdyby nie powodowało poważnych strat dla naszej gospodarki narodowej otrzymującej wysoko kwalifikowane kadry jako niepełnowartościowe.

Wszystko to głośnym echem odbija się na samych uczelniach ekonomicznych. Bo czyż można się bardzo dziwić, że w takiej sytuacji rodzi się tu niechęć do pogłębienia wiedzy w określonych kierunkach, rodzą się nastroje powątpiewania w ogóle w celowość studiów ekonomicznych? Czyż można się bardzo dziwić, że nawet wśród aktywów np. sekcji pedagogicznych dają się zauważyć nastroje depresji, skoro aktualny staje się tam problem „co z nami będzie?”. Takie nastroje na pewno nie pomagają w pracy uczelni.

Te nastroje spowodowane są nie tylko nieprzemyślanym, biurokratycznym rozdzielaniem absolwentów poszczególnych specjalności. Są i inne, również ważne sprawy zatrudnienia absolwentów WSE, które domagają się jakiegokolwiek koordynacji i uregulowania.

Do dziś jeszcze nie ustalono, na jakich stanowiskach powinni być zatrudniani absolwenci WSE. Izdają się takie wypadki, że np. Ministerstwo Przemysłu Mięsnego i Mleczarskiego zgłasza poznańskiej WSE zapotrzebowanie na kilku... kontystów (praca nie wymagająca kwalifikacji oprócz umiejętności przepisywania). A skierowani do poznańskiego „Centrogali” absolwenci w praktyce spełniają tam funkcje takichże kontystów, gdyż dyrektorowi przedsiębiorstwa wydaje się, że na razie nic lepszego nie potrafią. Innych przykładów dostarcza np. Centr. Zarząd Przemysłu Gastronomicznego, który ab-



Nie każdy potrafi uczyć się na świeżym powietrzu, ale studenci warszawskiej WSP opanowali tę sztukę znakomicie. Piękne słońce nie przeszkadza im przygotowywać się do sesji.

Foto: Czarnogórski

solwentom częstochowskiej WSE niejednokrotnie od razu powierza bardzo odpowiedzialne i wymagające dłuższej praktyki stanowiska dyrektorów terenowych placówek.

Pora również uregulować problem plac absolwentów. Wiadomo, że absolwenci o równych kwalifikacjach zamiast otrzymywać uposażenia mniej więcej na jednakowym poziomie (co zapewniałoby jakąś taką równość startu) otrzymują je bardzo zróżnicowane — w zależności tylko od tego, czy dany resort lepiej czy gorzej płaci. Np. tacy sami starsi księgowi otrzymują uposażenia, z których jedno jest dwukrotnie wyższe od drugiego tylko dlatego, że jedno przedsiębiorstwo podlega Ministerstwu Rolnictwa a drugie — Ministerstwu Leśnictwa.

*

Regulacja plac na pewno wymaga dłuższego opracowania, specjalnych przygotowań. Ale nie może usprawiedliwiać skodnicstwa powodowanego bezdusznym, niezgodnym z kwalifikacjami przydzielaniem pracy wielu absolwentom studiów ekonomicznych. Nie może usprawiedliwiać działalności ludzi, którzy podchodzą do swych zadań jak ów przysłowiowy wilk do gwiazd — zarówno w terenowych dystryktach PSS czy „Centrogali” jak i w niektórych ministerstwach i w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego.

W. GŁOWACKI

O programach studiów ekonomicznych

Czy tylko rezerwy czasu?

Było to na wykładzie organizacji rachunkowości na III r. WSE w Stalino. Kiedy wykładowca mówił o środkach trwałych — mało kto słuchał uważnie. Czy zagadnienie jest mało interesujące dla przyszłych rachunkowców? Przeciwnie, interesuje wielu studentów ale...

Niektórzy studenci prowadzili między sobą spór: jedni twierdzili, że o środkach trwałych słyszeć już siedem razy, inni — że dzisiaj słysząc o tym po raz dziesiąty! O tych samych sprawach mówili już przecież wykładowcy: rachunkowcy, ekonomiści przemysłu, ekonomiści politycznej, finansów i kredytu, planowania gospodarki narodowej, organizacji przedsiębiorstw, statystyki ekonomicznej.

Choć wywody poszczególnych wykładowców różniły się pod względem formy i kierunku — istota i treść wykładów poświęconych środkom trwałym była zawsze jednakowa. Wszystkim tego rodzaju wykładom można dodać jeszcze jedną cechę: płytkość (na każdym wykładzie omawiano tę sprawę krótko, powierzchownie).

Siedząc na takich wykładach (a jest ich na WSE dosyć dużo) przypomniałem sobie artykuł z POPROSTU: „Odciążyć studentów,

wzmocnić dyscyplinę studiów”. Pisał tam, że zbyt obciążenie zagadnieniami na uczelni wpływa hamująco na możliwości twórczego studiowania.

Gdzie więc tkwią podstawowe rezerwy czasu? Studiując przez trzy lata w WSE mogę powiedzieć, że co najmniej jedna trzecia wykładów było powtórzeniem materiału z innych dyscyplin.

Zaczęło się już na I roku. Każdy prawie wykładowca, mówiąc o przedmiocie swojej dyscypliny, zaczynał mniej więcej tak: „ponieważ metodą badań naszej nauki jest materializm dialektyczny i historyczny, dlatego właśnie omówimy naprzód to zagadnienie”. Mówiono więc przez 2 godziny o dialektyce, i materializmie.

Słyszałem takie „zagajenie” wykładów z ekonomii politycznej, historii gospodarczej, prawa, statystyki teoretycznej i prawie wszystkich innych przedmiotów. Ale problemy te rozumiałem dopiero wtedy, gdy były szeroko omawiane na wykładach i ćwiczeniach z marksizmu-leninizmu.

To był dopiero początek. Na drugim roku studiów spotkałem wiele takich powtarzających się wykładów. Np. sprawa normowania omawiana była w identyczny sposób na wykładach i ćwiczeniach z organizacji przedsiębiorstw przemysłowych i ekonomii przemysłu. Problemy programu produkcji omawiane były szeroko na wykładach z planowania gospodarki narodowej, wąsko i płytko na wykładach z ekonomii przemysłu.

Ukoronowaniem braku koordynacji między wykładami jest III rok studiów. Tu studenci słuchają już po raz nie wiadomo który wykładów o fotografii dnia roboczego, o inwestycjach, remontach, środkach trwałych, metodzie bilansowej, dochodzie narodowym itp. Studenci III roku sekcji rachunkowości wysłuchali po raz trzeci wykładów na temat procesów wielkopięcowych, stalownictwa.

Analiza i koordynacja programów nauczania — oto podstawowe źródło rezerw czasu. Sądzę jednak, że sprawy tej nie można ograniczyć tylko do rezerw czasu, bowiem skutki powtarzania pewnych problemów są o wiele szersze. Wykładowca powtarzając studentom zagadnienia, o których już słyszeć, nie może ich zainteresować. Poza tym z reguły mówi o tych sprawach zbyt wąsko — nie może więc omówić szerzej problemów trudnych i ciekawych.

Na wykładach ekonomii politycznej i na wykładach marksizmu-leninizmu słyszałem o bazie i nadbudowie. Sądzę, że to bardzo prosty problem. Studiując literaturę na ten temat doszedłem jednak do wniosku, że nie rozumiałem tu pewnych spraw. Ale cóż: sprawom tym na wykładach z ekonomii politycznej i marksizmu-leninizmu poświęcano tylko po dwie godziny, na obu wykładach mówiono to samo. Gdyby omówiono to zagadnienie np. tylko na wykładach ekonomii politycznej, ale w ciągu 4 godzin — uniknęłoby nie tylko powtarzania ale i spłycenia. Wtedy wykład lepiej pomógłby w rozwiązaniu naszych wątpliwości.

Twórcze studiowanie jest możliwe tylko wówczas, kiedy człowiek kocha przyswajać swój zawód. Ale ciągłe powtarzanie pewnych problemów na wykładach rodzi niechęć do nauki. Rodzi też wątpliwości, że nauki ekonomiczne są bardzo płytkie, że aby je poznać nie trzeba studiować. To wszystko podrywa zamiłowanie do zawodu, gubi perspektywę i cel nauki. A więc chodzi tu nie tylko o sprawę czasu

MIECZYSLAW KABAJ
WSE — Stalinogród

W odpowiedzi na list z Kędzierzyna

Politechnika Wrocławska dyskutuje

List otwarty kierownictwa Kombinatu Chemicznego ZPA w Kędzierzynie opublikowany w Nr-ze 18 POPROSTU wywołał burzliwe dyskusje na niektórych uczelniach technicznych.

Odbywają się zebrania grup i kół zetopemskich, narady aktywów i studentów z przedstawicielami przemysłu, spotkania z absolwentami uczelni pracującymi w zakładach produkcyjnych, posiedzenia senatów i rad wydziałowych, zebrania związkowe pracowników naukowych, zebrania katedr itp.

Z cenną inicjatywą wystąpił ostatnio dziennik wrocławski „Słowo Polskie”, który przedrukował najważniejsze fragmenty listu otwartego i kontynuuje zainicjowaną przez POPROSTU dyskusję na łamach swego pisma.

W dyskusji zabierają głos profesorowie, studenci, aktywiści partyjni i zetopemscy Politechniki Wrocławskiej. Poruszają oni szereg ważnych problemów pracy szkoły wyższej.

O brakach programów nauczania pisze m. in. tow. Porebski, przewodniczący ZU ZMP Politechniki Wrocławskiej. „Zdajemy sobie sprawę z

tego — pisze tow. Porebski — że nasze programy naukowe dalekie są od doskonałości, że niejednokrotnie jesteśmy obciążeni balastem niepotrzebnych wiadomości. Weźmy dla przykładu wydział inżynierii sanitarnej. Ponieważ jest to wydział nowy, bez tradycji, ministerstwo nie zdaje sobie jeszcze do końca sprawy z tego, co właściwie musi umieć absolwent. Program studiów jest tam często zmieniany. Stąd też wynika to, że studenci tego wydziału są obciążeni zupełnie, moim zdaniem, nieprzystającymi wiadomościami encyklopedycznymi”.

Na ten temat pisze również kol. Kędziór, starosta III roku wydziału elektrycznego sekcji maszyn. „Poświęca się nadal szereg godzin wykładem na tematy, które mogą być opanowane przez studentów drogą samokształcenia. Powoduje to uszczuplenie godzin wykładów i ćwiczeń z przedmiotów najbardziej trudnych, skomplikowanych... Studiując na sekcji maszyn i stwierdzając, że również i tu za mało jest kierunków podstawowych: maszyn elektrycznych. Stąd też wykładowca nie jest w stanie przerobić materiału ze słuchaczami w przepisanych

ilościach godzin, na sekcji automatyki i miernictwa nie ma wykładów z automatyki i miernictwa, za to mamy długi szereg lekcji z technologii masowej produkcji, o elementach drobnej konstrukcji itp”.

Dużo miejsca w dyskusji zajmuje zagadnienie wiązania teorii z praktyką w czasie studiów. Na ten temat wypowiadają się prawie wszyscy dyskutanci. Postulują mocniejsze powiązanie teoretycznych wykładów i ćwiczeń z najnowszymi osiągnięciami technicznymi i najważniejszymi problemami praktycznymi w przemyśle. „Nasze laboratoria — pisze tow. Porebski — są przestarzałe, a nowe urządzenia widzimy tylko na nielicznych wykładach. Nasz park maszynowy składa się z gratów, wybrukowanych przez zakłady produkcyjne... Tematy prac dyplomowych opracowywanych przez studentów są niejednokrotnie oderwane od rzeczywistości. Studenci projektują maszyny i urządzenia nie używane w przemyśle, albo dublują prace wykonane już przez innych. Tak np. jeden z kolegów z wydziału mechanicznego otrzymał za temat wykonanie obliczeń do żurawia przysięgłego jednorozowego. Żuraw ten jest już przecież dawno w eksploatacji i dokonywanie wspom-

nianych obliczeń nie jest w tej chwili nikomu potrzebne”.

O praktykach wakacyjnych pisze m. in. mgr inż. Tadeusz Talik: „Studentom potrzebna jest praktyka fabryczna... w dużych kombinatach przemysłowych, gdzie student ma możliwość zetknięcia się z całą różnorodnością procesów technologicznych... Konieczne jest zatem nie tylko ustawiczne nawiązywanie wykładu do praktycznych zagadnień produkcyjnych, nie tylko przygotowanie studenta do praktyki wakacyjnej na terenie uczelni, ale przede wszystkim konieczna jest właściwa opieka nad studentem w czasie wykonywania praktyki wakacyjnej”.

Kol. Salyga podkreśla, wysuwany już w dyskusji, postulat przydzielania na praktyce konkretnych zadań naukowych do wykonania. „Uważam — pisze kol. Salyga — że należy studentom jadącym na praktykę dawać do wykonania samodzielne zadania, jak np. przeprowadzenie dokumentacji technicznej jakiejś obrabiarki. Zmusi to ich do pogłębienia wiadomości, pozwoli praktycznie poznać się z tematem, a z drugiej strony będzie to z pożytkiem dla zakładu”.

Kazimierz Ziemiański, instruktor organizacyjny ZU ZMP, porusza niezmierzony istotny problem — pracę

wychowawczą na wyższej uczelni. „Nie ulega wątpliwości — wypowiada się kol. Ziemiański — że poziom wychowania ideowego naszych absolwentów zesłorocznych i zlat ubiegłych był niski. Zrobimy wszystko, aby te braki nadrobić. List wskazał na to, że oprócz przygotowania studentów do pracy z maszynami trzeba ich przygotować do pracy z ludźmi...”

O samodzielnej pracy studenta pisze mgr inż. Lech Pajdowski. „System ułatwiania studentom nauki drogą repetytoriów, konsultacji, pomocy, niewątpliwie pomaga studentowi, przyspiesza tempo nauki, lecz z drugiej strony — jeśli student traktuje tę pomoc jako wyręczenie go w jego pracy osobistej — bardzo łatwo oducza go samodzielności. Zapytany „z innej strony” o zagadnienie znane mu doskonale z wykładów i ćwiczeń, student miesza się i nie umie odpowiedzieć. Może właśnie fakt, że zbyt wielu liczy na repetytoria i konsultacje demobilizuje go w pracy nad sobą? System „właczania na siłę” wiadomości do głowy studenta daje niejednokrotnie wręcz przeciwnie rezultaty”.

Dyskusja się toczy. Niewątpliwie przyniesie ona konkretne rezultaty i pomoże studentom już w bieżącej sesji egzaminacyjnej.

Czy nie będziemy się wstydzić?

W przededniu otwarcia obrad II Zjazdu PZPR ruszył Kędzierzyn. Kędzierzyn, którego załoga przed miesiącem napisała list otwarty do wszystkich studentów-chemików.

Postaram się krótko opisać, jak zareagowali na ten list studenci wydziału chemii UW. Dziś właśnie rozmawiałem na ten temat z kolegą Kurmanowskim, przewodniczącym Zarządu Kola ZMP na III roku. Z rozmowy tej wynika, że zainteresowanie listem z Kędzierzyna na III roku jest znikome. Nie zdołano dotychczas zorganizować dyskusji na grupach studenckich i roku, nie propagowano listu wśród studentów. Nasuwa się pytanie: A co robi organizacja ZMP? Co robi grupa partyjny na III roku chemii? Odpowiedź krótka i zarazem smutna. Bardzo niewiele.

Na temat listu rozmawiałem również z tow. Szymańskim, I sekretarzem OOP. Odpowiedź była identyczna taka sama jak kol. Kurmanowskiego: „Ależ oczywiście, zamierzamy, planujemy, zorganizujemy, może pod koniec maja...”

Już ponad 3 tygodnie jak ukazał się list, a na chemii cicho. Kolekdzy chemicy, zasklepił się w swych gmachach, nie dociera do was życie. Załoga z Kędzierzyna pisze do Was z ufnością i nadzieją, a z Was mało kto nawet czytał ten list. Kolekdzy! Na Was liczy Kędzierzyn, że wkrótce przyjdziecie tam ze skuteczną pomocą. Liczy nie tylko na Wasze kwalifikacje zawodowe, ale i na Waszą postawę społeczną.

Czy rzeczywiście dobrze jest na wydziale chemii i list nie może Wam pomóc?

JÓZEF STOJNIAK
Uniwersytet Warszawski

Zrozumieli apel Kędzierzyna

Zaraz po ukazaniu się listu z Kędzierzyna odbyło się zebranie Zarządu ZMP wydziału chemii Politechniki Śląskiej, na którym omówiono braki w nauczaniu i pracy wychowawczej. Postanowiono zwrócić się do dziekana o zreformowanie pracy lektoratu z języka rosyjskiego celem położenia głównego nacisku na słownictwo techniczne związane z literaturą fachową. 18 maja 1954 r. odbyła się dyskusja na I i II roku studium magisterskiego w sprawie listu.

Zebrań tych wynika, że większość studentów wzięła do serca apel załogi kędzierzyńskiej i myśli o tym, jakby najlepiej przyczynić się do poprawienia sytuacji na tym odcinku.

Przewidziana jest dyskusja na wszystkich latach studium inżynierskiego z udziałem rektora, prorektora i dziekana.

Analizując zakres przedmiotów fachowych, ich przydatność i znaczenie dla pracy w przemyśle należałoby zmienić niektóre zalecia,

np. ćwiczenia. Maszynoznawstwo należy bardziej powiązać ze specjalizacją, dawać więcej praktycznych przykładów. Studenci w naszym laboratorium muszą widzieć zakład produkcyjny, w którym będą pracować.

Pomimo wszystkiego, nawet z naszym przygotowaniem, można sobie dać radę. Niedawno cały trzeci rok był w Kędzierzynie. Nawiazaliśmy kontakt z inżynierami i robotnikami, zorientowaliśmy się w problemach zakładu i jego pracy.

Kolekdzy nasi, którzy już tam pracują, wywiązują się dość dobrze ze swych zadań. Prawda, że za mało jest ich udział w pracy organizacji ZMP-owskiej. Niewątpliwie organizacja ZMP-owska na zakładzie nie jest też bez winy. Nie wciągnęła ich do pracy, nie pomagała przy stawianiu przez nich pierwszych, czasem bardzo ciężkich, kroków.

MIECZYSLAW SZKOP
Politechnika Śląska

Do autora „Herkulesów”

Osobisty i chaotyczny felieton z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy

Towarzyszu Stawiński!

Nasza grupa dyskutowała niedawno nad Waszą książką — „Herkulesy”; była to najbardziej udana dyskusja ze zorganizowanych dotychczas przez nasz rok. Załowaliśmy ogromnie, że nie było Was z nami i grupa zobowiązała mnie do napisania listu, w którym przekazujemy Wam nasze słowa uznania i szacunku.

Niektórzy z nas czytali „Herkulesy” już w 1952 r., ale niewiele mogło na temat tej książki powiedzieć, gdyż jako pierwszorocznicy nie znali jeszcze wszystkich zagadnień życia uczelni. W tym roku, już jako seniorowie kursu inżynierskiego, po dyskusji nad „Pamiętką z Celulozy”, zajęliśmy się Waszą książką.

Przeczytali ją wszyscy koledzy, nawet ci, których podstawową lekturą jest jedynie „Przegląd Sportowy” i „Dziennik Łódzki”. Nasz organizator grupy, Andrzej Lewicki, prowadził dyskusję i „rozebrał” książkę na „czynniki pierwsze”. Aczkolwiek jesteśmy chemikami i umiemy przewidzieć kierunek i prędkość reakcji, to w tym wypadku wiedza nas zawiodła. Reakcja szła w różnych kierunkach i z różnymi prędkościami. Charakterystyczną cechą naszych dyskusji jest to, że powstają zawsze dwa obozy — jeden „pro”, drugi „contra”. Ja należałem do ostatniego (już mam taką naturę, że lubię krytykować, może to pozostałość z rocznej pracy w „Błyskawicy”) i dlatego zaczęłam od „contra”.

Do siewskiej pasji doprowadzał nas Sapiński. Początkowo dlatego, że rzucił się jak szara gęś, a następnie dlatego, że przysłał do Biłogostoku sobowótora — łagodnego, koleżeńskiego, trochę zamkniętego w sobie. Nikt z nas nie mógł pojąć, iż przez kilka tygodni człowiek tak się zmienił.

Dawny kobieciarz — odchodzi dumny i smutny, kiedy dziewczyna rzuciła mu się na szyję. Dyktator, pyskacz, napompowany zarozumiałstwem i pogardą dla otoczenia, staje się nagle pokornym barankiem. Ten leń, nieuk — teraz uczy się i uczy, a nawet pomaga kolegom.

My rozumiemy, że człowiek mądrzejsze, rośnie, zwraca ze złej drogi, ale sporo wody musi upłynąć nim zupełnie wewnętrznie się przeobrazi. Zie nawyki są trudne do wykorzenienia i trzeba z nimi długo walczyć. A Sapiński zrobił to za szybko, nie widząc jego pracy nad sobą i dlatego nie możemy mu wierzyć.

Nie możemy też zrozumieć, że organizacja ZMP i partia tak długo go tolerowały.

Drażniło nas to, że chłopcy ze średnim wykształceniem mówią gwarą i często sprawiają wrażenie nierozgarniętych. Oni chyba nie mieli matury i przypadkiem znaleźli się w AM.

Albo (nie wiem dlaczego nazywana drażliwą) sprawa miłości.

Młodzi ludzie przeważnie mają swoje sympatie, miłości, marzą, catują się, prowadzą rozmowy, może blado, ale dla nich bardzo ważne i ciekawe. W „Herkulesach” tylko raz oglądaliśmy zakochanych — Ganderę i Danusie. Wymowa ich dzieł jest taka, że jedynie zepsute drobniomieszczanki catują się, chodzą na spacer, co kończy się wielce niemoralnie... Trochę to mnie zdenerwowało. Wiem przecież, że catują się nie tylko dziewczęta zepsute. Wy ich nie pokazałeś. „Pożytywna” ukochna Wiśniewskiego jest tak mglista, daleka i nierealna, że może się podobać jedynie Wiśniewskiemu, który ją zna bliżej.

Gandera nam się nie podobał. Porządny chłopak, ale fajtapa i idealny... jak bohater z bajki. Nie ma wad, uczy się przykładowie, myśli utracone — wszystko „po linii”. Dziwnie, że w chwili, gdy Danusia go rzuciła nie napisał referatu o drobniomieszczanśkim wychowaniu, a przeżył to naprawdę jak człowiek zakochany.

Łatwiej jest krytykować niż rzeczowo pochwalać, ale możecie się nie martwić, Towarzyszu Stawiński, że nie dostrzegaliśmy zalet Waszej książki. Nie będę mógł wystąpić o czymś mówiliśmy powtórzyć, gdyż dyskusja (ta „oficjalna”, bowiem długo jeszcze w czasie drogi i w domu rozmawialiśmy o „Herkulesach”) trwała 2,5 godz. Ale jeżeli doczytaliście list do tego miejsca to...

Jesteśmy Wam wdzięczni, że napisaliście powieść o studentach. Nie rozumiałem, czy próżność poddyktowała ten sąd. Potrzebne nam są książki mówiące o studentach, poruszające problemy i zagadnienia, które nas interesują. Pomagają nam żyć, poznawać ludzi, wychowują, uczą koleżeńskości.

Zwrócili naszą uwagę rozmowy Gandery z rodzicami i sąsiadami wsi. Wasz bohater przekazał nam, że nie należy uświadamiać kolegów tylko poprzez referaty na zebraniach, ale w codziennych rozmowach, prostymi słowami i oczywistymi faktami przekonywać swoich bliskich. Przekonująco pokazaliście losy grupy studenckiej, do której należał Gandera. Początkowo niedyscyplinowana, niezżyta, podzielona na grupki, z czasem przeobraziła się w zwarty kolektyw.

Mógłbym napisać więcej superlatywów, ale obawiam się Was znudzić.

Zapewne inni czytelnicy (i to dużo wcześniej) przekazali Wam swoje uwagi o „Herkulesach”. Ale jeżeli i nasz sąd pomoże Wam w dalszej pracy literackiej, przyczyni się do lepszego poznania młodzieży — będziemy bardzo zadowoleni.

Słyszałem, że macie na warsztacie nową powieść, również młodzieżową. Czekamy na nią niecierpliwie. Serdecznie Wam życzymy powodzenia w pracy.

Za 3 gr. III r. chemii P.L.
STANISŁAW PŁOCHARSKI

ADAM BARON

Niemiecki partyzant

Nie wiem doprawdy, jak zacząć ten artykuł. Chyba najwygodniej byłoby w formie sprawozdawczej. W pierwszym dniu Zjazdu Młodych Pisarzy w Oborach przybyli w odwiedziny do obradujących dwaj pisarze niemieccy — Harald Hauser i Heinrich Häckel.

Do przerwy obiadowej brakowała cała godzina. Dyskusja była gorąca i dużo dymu papierosowego zawisło w powietrzu. Czulem się zmęczony i bolała mnie głowa, wyszedłem przed pałac. Na werandzie siedzieli w fotelach, wyrażając się w kwietniowym słońcu, dwaj nieznajomi. Gdy podszedłem do nich, okazali się zapowiadzanymi pisarzami niemieckimi. Nie chcieli swym wejściem przerywać dyskusji, czekali więc na przerwę obiadową, aby po obiedzie porozmawiać z nami. Po obiedzie brali udział w dyskusji i przysłuchiwali się jej z uwagą.

Nie, to było tak: Po zwykłe następujących w takich wypadkach wyjaśnieniach, jak się nazywają i co który z nich napisał, „rozkręciła się” naprawdę ciekawa rozmowa między nimi i nami.

Już nie pamiętam nawet kto pierwszy spytał: — „Jaka jest obecna sytuacja w literaturze niemieckiej i jakie mają trudności?” — Wstał Hauser, uśmiechnął się (a jak się śmieje to śmieją się i oczy, i usta, i cała twarz. Taki jakiś „całkowicie uśmiechający się” osobnik). — „An einer Seite stehen die Schematiker, an der anderen die Ästhetiker.” — „Gdy esteci odmawiają cech dzieła artystycznego wszystkim co „traci” politykę, to schematycy potrzebują dla wyrażenia obrazu artystycznego najmniejszej trzecz „upolitycznionych” postaci!”

Służa im do tego: bohater pozytywny, noszący na szyi tablicę — „Ich bin der positive Held”, bohaterka pozytywna, nosząca identyczny plakat, przy czym całują się w finale, wymieniając (koniecznie) między sobą produkty swej pracy

am napisać coś w rodzaju felietonu na Dni Oświaty, Książki i Prasy. Rozłożyłem przed sobą 5 kartek papieru z niezłomnym postanowieniem zapisania ich drobnym i niewyraźnym pismem, ale na szczęście dla czytelników przypomniałem sobie że właśnie dzisiaj są eliminacje wojewódzkie szkolnych zespołów artystycznych. Warto by tam wyskoczyć i złapać na chwilę Ulkę Kozioł, tj. przepraszam, panią profesor Kozioł, która przyjechała ze swymi „artystycznymi” wychowankami z Bystrzycy Kłodzkiej: pani profesor jeszcze rok temu była zwykłą studentką polonistyki i razem z nami plotkowała w kolejce po obiad, razem z nami drżała przed egzaminami i tak jak wielu z nas obecnie powtarzała z nadzieją: może jednak zostawić mnie we Wrocławiu, może się uda...

Nie udało się. Ulka co prawda broniła się do upadłego. Otrzymała się o redakcję „Słowa Polskiego”, była kulturalno - oświatową w Związku Inwalidów, potem upadła na krótko do szkoły felcerskiej. Niestety Wydział Oświaty dosięgnął ją i tam, po czym wysłał na prowincję; właśnie do Bystrzycy. Wyjechała z nosem opuszczonym na kwińcie, a myśmy ją pocieszali przyrzekając

dotożyć wszelkich starań, żeby w wrocławiu triumfalnie powróciła do Wrocławia.

Odwiedziłem ją potem razem z Heńkiem Smolakiem — w lutym bodajże Pani profesor — bo tak w Bystrzycy trzeba Ulkę tytułować — była trochę przemęczona, ale za to jaka pełna entuzjazmu, uporą i różnych pomysłach. Opowiadała o profesorskiej dumie o swoich wychowankach chwaliła się tym, że zaczęła pomagać szkolnemu zespołowi artystycznemu. I patrzyła: w trzy miesiące później przyjechała z nimi na eliminacje wojewódzkie.

Spotkałem ją parę dni temu na ulicy, gdy szła do opery, aby zakupić młodszy o kilka lat od siebie „dzieciakom” bilety: — Jak przyjadą na eliminacje, to niech chociaż do opery pójda — tłumaczyła. Zapytałem ją, czy wraca we wrześniu do Wrocławia. Zarumieniła się i odpowiedziała, że chyba jeszcze rok tam zostanie, bo jej „dzieciaków” szkoda. Widać ta prowincja nie taka straszna jak ją malują!

Będąc niedawno w Bystrzycy wdrapaliśmy się na wysoką górę i na jej szczycie Ulka zapomniała, że jest panią profesor, ja z Heńkiem zapomnieliśmy, że występujemy w charakterze młodych pisarzy i pędem zbiegliśmy do samego miasta. Jak dzieciaki. A na dole zrodziła się propozycja, żeby w cza-

nie wakacji Koło Młodych Pisarzy przemienić w brygadę wędrowną i ruszyć na „autonogach” trasami Dolnego Śląska. Dzisiaj już ta myśl przeobiekła się w ciału i na przełomie lipca i sierpnia idziemy zbiorowo w „teren”. Jesteśmy pewni, że wrócimy z tej wędrowki jeszcze bardziej zakochani w naszej przelicznej dolnośląskiej ziemi, a z wielkiej miłości powinny się zrodzić dobre utwory.

W Bystrzycy byłem z Heńkiem Smolakiem — autorem powieści „Nad Bugiem”. Pierwszy nakład tej książki już wykupiono, ale niestety, niewiele egzemplarzy „Nad Bugiem” rozeszło się wśród młodzieży naszego uniwersytetu, którego studentem jest Heniek. I ZSP i ZMP jakoś to przegapiły, a wśród przeszyconych mądrością literacką polonistów pobiegła gadka: „Czy współczesny pisarz i to młody mógł coś dobrego napisać!” A tymczasem książka choć nienajlepsza, warta jest i przeczytania i przedyskutowania.

Jeśli już jestem przy tych sprawach, to warto zapłakać gorzkimi łzami nad konkursem czytelnictwa. Nie znam uprzedzie liczb, ale to może i lepiej, bo rozstrój nerwowy gotów. W każdym bądź razie w większości grup wydziału filologii większość skończyła się na mniej lub więcej pięknym mówieniu o przy-

gotowaniach do konkursu. Nie słyszałem też, żeby ktoś z polonistów przeprowadził dyskusję na „ścisłych” wydziałach. Aby nie skłamać dodam, że sam miałem przeprowadzić dwie dyskusje, ale potem nikt się do mnie nie zgłosił, żeby poinformować, gdzie je mam przeprowadzić, ja znowu zbyt nachalnie nie szukałem i tak jakoś zeszło.

Za to aktywni uniwersyteccy wybierają się w teren z nową sztuką, z „Domkiem z kart”. Z tego, że mimo dostojnie tysięcy trudności osiągnęli swój cel, najwięcej cieszy się Józef Krosny — „dyrektor teatru” i „Sławoj-Składkowski” w jednej osobie.

W moim felietonie brak słowa, które powinno się powtarzać często: wieść. Nie jestem dokładnie w tych sprawach zorientowany, ale zdaje się że nasza uczelnia „po tej linii” mogłaby więcej zdziałać. Wyjeżdżano — o ile wiem — do Marcinkowic, ale ZW ZMP wstrzymał fundusze i skończyło się. Mam nadzieję, skończyło się — chwilowo. Mam również nadzieję, że nie będę potrzebował czekać aż do następnych Dni Oświaty, Książki i Prasy, żeby o naszej łączności ze wsią napisać artykuł do POPROSTU. I to niekrytyczny.

CZESŁAW BIAŁOWĄS
Uniwersytet im. B. Bieruta
we Wrocławiu

List do Redakcji



Nasze zespoły agitacyjne - artystyczne mają już dobrą i zasłużoną opinię. W każdej akcji najlepsze zespoły agit. - artystyczne poznańskie WSE są na wsi... Tak przecież — z kilkunastu dziewcząt i chłopców wyjeżdżających na wies — powstał — duma naszej uczelni — 180-osobowy zespół „Star 20”. Dziś zespół ten otrzymał 1 miejsce w eliminacjach środowiskowych.

Chłopi konińskich czy wrzesińskich wsi, już nieraz długotrwałymi oklaskami, pełnymi ciekawości i oczekiwania oczami zatrzymywali nas dłużej niż przewidywaliśmy... Późno wówczas wracaliśmy do Poznania.

Tym razem, a było to 1 Maja br. naszego wyjazdu jakby nikt nie żałował. „Hip, hip, hurra” na cześć Siejca pozostały bez echa z „tamtej strony”... czuliśmy się niewyrażnie. Później, półmrok pod brezentem samochodu zamazywał zawiedzione spojrzenia... Nie tak przyzwyczailiśmy się wracać.

W Poznaniu nowy tydzień przyniósł nowe prace i nowe troski... Zapomnieliśmy o sobocie i nie zastanawialiśmy się nad porażką. Aż wczoraj wieść: jedziemy w teren. Rozgorzały dysputy, ktoś krzyknął: „...żeby nas do reszty wygwizdali, co?”.



rys. Jerzy Cwiertnia

Takie oto kłopoty ma zespół nr 4 II roku wydz. finansów. Spróbujmy się zastanowić. Zespół, jak wiemy, wyjechał w teren, aby wraz z chłopami pyzdrzańskich wsi uroczyste uczcić święto 1 Maja. Ale w całym programie o 1 Maja miał przecież tylko 1 wiersz.

Co było robić? Ano „coś” być musi! Tak właśnie do programu do-

stały się różne „kawałki”. Były przyjemne piosenki radzieckie, był wiersz o kogucie co piał, gdy chciał, był kujawiak i krakowiak... Ale jak to zlepić?... Tu potrzebny był „magik”. Takim magikiem jest Wiesiek. On najlepiej umie „wiązać”.

Pierwszy „węzeł” — to parodia tańca, od cherlestona i swinga do „boogie-woogie” — byłem przekonany, że co najmniej 80 proc. zebranych nie wiedziało o co chodzi wi-

jącemu się Wieskowi.

Drugi „gwóźdź” to naśladowanie w celu nienaśladowania... pijaka Kawał, nie tylko mnie wydawał się z ta... a... ką broda. Potem monolog naszego „skecysty” o „kuzynie z prowincji”. Widziałem na własne oczy, jak za każdym słowem „prowincja” poruszenie rosło... Następnie niezastąpiony Wiesiek „zrobił” doskonały bigos literacki. Przyznam się, że słuchając z uwagą, gdzieś koło połowy zgubiłem się bezpowrotnie i wreszcie zacząłem wątpić: kto... co... napisał „Najlepszy” był zresztą niesmaczny, druznaczy „kawał” o ciężarnej staruszcze... tego było już i dla mnie za wiele... wyszedłem.

No, kłopoty niemałe. Czy jednak w niedzielę, gdy znów wycekuje oczy wprowadzając nas do świetlicy, gdy znów spracowane ręce będą oklaskiwać każdy „numer” — pozwolimy żeby choć po jednej twarzy przemknął wyraz rozczarowania i zawodu. Nie, na pewno nie. Ale przedtem porozmawiamy o tym wspólnie z Michaliną i Miśkiem...

ZYGMUNT SABILLO
WSE — Poznań

musiałem go zastąpić — na ringu. (Pamiętacie, że cały prawie czas mówiłem po francusku). Walczyłem — pamiętam — z jakimś włoskim marynarzem. Pokonał mnie w drugiej rundzie przez „k.o.” i przez dziesięć minut byłem zupełnie pozbawiony świadomości, mogąc (co najdziwniejsze) stać i rozmawiać.

Z kim i co mówiłem — nie nie pamiętam. Powiedziano mi, że cały czas rozmawiałem po francusku. Tego rodzaju „poważne” „posunięcia” groziły naprawdę poważnymi następstwami, przede wszystkim zdemaskowaniem i dlatego Partia zabroniła mi boksować się, przy najmniej do końca wojny.

Spokojnie mówiłem po niemiecku jedynie w partyzanckich oddziałach niemieckich oraz z pojedynczymi niemieckimi antyfaszystami w konspiracji czy w oddziałach francuskich maquis.

A kiedy w czterdziestym piątym wracałem do kraju, to Francuzi nie mogli zrozumieć jak mogę ja, oficer sztabowy francuskiego Ruchu Oporu, posiadający tyle zasług w walce z hitlerowcami — wracać do pokonanego narodu.

Tłumaczyłem, że właśnie naród zwyciężył, niemiecki lud, a przegral hitlerizm — tłumaczyłem, że walcząc w ich szeregach, tak jak setki niemieckich antyfaszystów, walczylem nie tylko o ich wolność, ale o wolność mojego niemieckiego narodu.

No, kochani — przerwał — czas iść na dyskusję, „dziękuję, chodźmy” — niecierpliwił się.

Patrzyłem na niego, gdy odjeżdżał z Häcklem i myślałem, że kiedyś spotkałem w partyzancie wielki Niemców walczących z hitlerowcami i przyznać się szczerze, miałem jednak pewne uprzedzenia. Co robić — mówił tym samym językiem co Hitler. Dziś słyszę, że fałszyści całego świata mówią wieloma językami. I my, antyfaszysci, mówimy też dziesiątkami języków, a „Freundschaft” brzmi tak samo cieżko i radośnie jak „Przyjaźnia” i „Druzja”.

Wrocław, maj, 1954 r.



(Dokończenie ze str. 1)

— Oto, kto mi teraz przyjaciół, psiekrew... Jak to przeżyć, jak prze-
trwać...

Na drugi dzień przez zainstalowa-
ny własnie radiowęzeł uczniom
nadawano rano, w południe i z wie-
czora komunikat o wydaleniu z or-
ganizacji zetempowskiej kolegi Mo-
krzyckiego za takie to a takie prze-
winięcia.

— Znaleźli temat do pierwszej
audycji — myślał z gorczyzą Wie-
sieć, ale nie opuszczał ani jednego
wykładu. Trwał na miejscu, jakby
chciał przekonać siebie i innych, że
wytrzyma, że potrafi ponieść konse-
kwencje jak na zetem... jak na
męczyznę przystało.

W poradni przeciwalkoholowej
przyjęto Wiesia serdecznie. Ci lu-
dzie w białych kitlach, lekarze i
pielęgniarki chciały mu naprawdę
pomóc. Na kuratora wybrał sobie
Mokrzycki Władka Romanowskie-
go, jemu więc wręczono słoiczek z
antabusem, który Wiesiek miał re-
gularnie zażywać. Władek nie bar-
dzo nadawał się do takiej roli i ra-
czej sceptycznie odnosił się do me-
tody wychowawczej, która sprowa-
dzała się do okrągłych pastylek wy-
wołujących gwałtowne torsje po wy-
piciu najmniejszej nawet ilości al-
koholu.

I rzeczywiście, rok, w ciągu któ-
rego Wiesiek nie spojrzał nawet w
stronę butelki, miał swoje uzas-
niednienie nie tylko w szklanym
słoiku z antabusem. Po wypadkach
z Pierackim i Mokrzyckim krok za
krokiem zmieniały się na lepsze
stosunki na uczelni. Organizacja co-
raz głębiej sięgała swym wpływem,
coraz skuteczniej walczyła ze sta-
rym, ustąpiły pijackie praktyki. Pa-

miętało i o Wiesiu. Trudno zresztą
było zapomnieć. Sesję letnią zali-
czył jako jeden z pierwszych na
samych piątkach i czwórkach.

Staszek Wierzbę, nowy przewod-
niczący ZU, student I roku, długo
łamał sobie głowę, jak tu okazać
Mokrzyckiemu pomoc. Wiadomo
przecież, że nie można zostawić tak
człowieka, wyrzucić i zostawić.
Trzeba nad nim pracować politycz-
nie, wychowywać. Ale jak — tu
własnie szkopuł.

— O tym, cholera, w żadnej in-
strukcji ani słowa, choć nękały ty-
m papierzyskami — irytował się
Staszek, znany wśród kolegów ze
wstrętu do pisania wszelkich spra-
wozdań.

A położenie Wierzbę istotnie nie
było najłatwiejsze. On, można po-
wiedzieć gołowąs na uczelni, i Wie-
sieć, student IV roku, przewyższa-
jący go i wiekiem i wiedzą. Oczy-
wiście można się było zwrócić do
towarzyszy z IV roku, ale Staszek
uważał, że powinien sam, osobiście
coś przedsięwziąć.

Kiedy wreszcie wybrał się do Mo-
krzyckiego, był tak zmieszany, że
nie wiedział od czego zacząć roz-
mowę. Mówił chwilę o wynikach
ostatniego meczu, o profesorze Je-
żu, o pogodzie nawet i dopiero pod
koniec Staszek zaproponował Wie-
skowi, by wziął udział w wyjeździe
ekipy agitacyjnej na wieś i zastąpił
chorego od tygodnia akordeo-
nistę.

— Innej pracy nie mogłem mu
przecież zaproponować. Sam chyba
rozumiem — rozmyślał Wierzbę, bar-
dzo z siebie zadowolony. — Ale za-
stępstwo akordeonisty, w ekipe
agitacyjnej to już coś. Powoli go
wciągnęli, niech się tylko czymś
wykaże. W pracy ludzie wychowują
się najlepiej — upewnił się jesz-
cze popularnym truizmem.

Niedługo miał wprawdzie Sta-
szek okazję pracy politycznej nad
Wiesiem, gdyż niebawem rozpo-
częły się praktyki dyplomowe i Mo-
krzycki opuścił uczelnię na 4 mie-
siące, ale jednak ich niezbyt skła-
dne pogawędki, które Wierzbę co ja-
kiś czas organizował, przynosiły
niezwykle rezultaty. Wiesiek zro-
zumiał, że nikt nie postawił na nim
krzyżka, że nie wyrzucono go poza
nawias, owszem, podkreślano jego
przynależność do społeczności stu-
denckiej, wyciągano rękę...

Praktyka była nielatawa, praca
niebezpieczna. Wiesiek nie żałował

— Dobra, dobra — uśmiechnął
się jakoś dziwnie Kowalski. — Nie
bądź taki wrażliwy. Przecież kie-
rownik nie o tobie mówi...

— Po co było z nim gadać, psia-
krew... — złościł się potem na same-
go siebie Wiesiek — zresztą dobrze
mówi. Nie kierownik winien, żem
pił, że mnie w końcu wywali...

Na tydzień przed ukończeniem
praktyki Wiesiek żegnał się z towa-
rzyszami pracy. Musiał odjechać
wcześnie wczasy depezą na uc-
zelnię. Sciskano go serdecznie i
mocno, bo wszyscy polubili zdolnego
i pracowitego studenta, który nig-
dy nie ustępował przed trudnościa-
mi.

Tekst depeszy brzmiał: „Przyje-
chać natychmiast — sprawa b. waż-
na”.

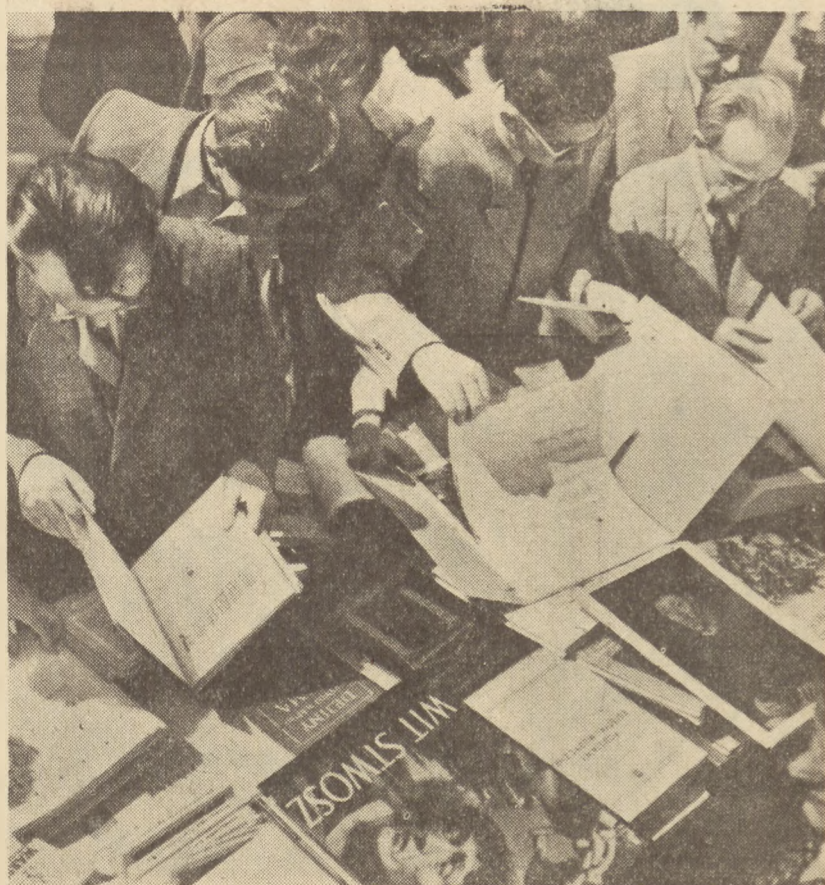
— Ki diabeł — zachodził w głó-
wę Wiesiek nie mogąc domyśleć się
co to znaczy...

Zebranie było niezwykle uroczy-
ste. Kiedy po przemówieniach kole-
gów popierających gorąco wniosek
o ponowne przyjęcie Mokrzyckiego
w szeregi ZMP on sam zabrał głos,
było tak cicho, że słychać było sze-
leść poruszanych wiatrem gałęzi,
zagłających przez otwarte okno.

— Jestem już zdrowy i moja cho-
roba nie powtórzy się więcej... źle
jest poza organizacją, towarzysze...
choć być razem z wami...

Nieskładne zdania nabrzmiewały
głębokim wzruszeniem, nadzieją,
wdzięcznością. Po chwili przewo-
dniczą wręczał Wieskowi legity-
mację, a sala trzęsła się od okla-
sków.

B. KALAMACKA

Dni Oświaty, Książki i Prasy rozpoczęły się. Wokół stoisk z książkami,
jak co roku, zbierają się coraz liczniejsi miłośnicy literatury pięknej.
(Foto CAF)

MAGDA LEJA

Pierwszy krok

Chromik lał drogą od daw-
nych czworaków, powoli
przekraczając długie cienie
brzoź. Kury bez pośpiechu
uciekały przed nim na bo-
ki i sruwały do zarosłych
pokrzywami rowów. Poranny chłód
nie wypędził im jeszcze z kości
przyjemnego ciepła kurników. Chro-
mikiowi też było nijako. Wprawdzie
na jakiejś miedzy prześpi się jesz-
cze z godzinę, ale to już nie to.
Skreślił z drogi i mijając przybitą
do bramy czerwoną butlę po tlenie,
w którą waliło się na przerwie, pod-
chodził ku gankowi dworu. Tam,
przed tablicą ogłoszeń, dała się
gromada chłopaków i dziewczyn.
Byli to miastowi, studenci, którzy
przyjechali na zniwa. Ze wsi jeno
Wicek i „sezonowa” Halina, stoją-
cy na boku.

— Oto co jeim potracilem — do-
myślił się. — Ale też bestie chytne,
od razu zobaczyły. — Szedł teraz
szybciej, jakby ranne rozmarzenie
zostawił w półtonach brzożowej dro-
gi. Na ścieżce, poza nim, w wy-
gniatanych butami zagłębieniach
tworzyły się małe bajorka o po-
wierzchni metalicznej lśniącej w
słońcu.

Dostrzegłszy go, młodzi rzucili się
ku niemu. — Panie brygadzie! Pa-
nie Chromik! — krzyczeli. — Co to
znaczy?

Tylko ci ze wsi, choć o nich cho-
dziło w całej sprawie, stali spoko-
jnie, jakby obojętni.

— Dlaczego oni mają mniej poli-
czone? Razem robiliśmy!

— Wszyscy, od rana do wiecz-
ra!

— To było na Starocku, w stodole.
Nawet wyszcie do nas zachodzi!

Stali na schodkach i zdawali się
mieć nad nim przewagę. Miał tego
dosyć. Był brygadierem czy nie był?
Krzyknął ostro:

— Każdemu tak się zapłaci, jak
robił! A na was też nikt czekać nie
będzie! Na Starock jedziemy!

— Wście podawali takie dno-
wki? — cępał się jeszcze pucłowaty
Michał. — Bo jeżeli wście podawali
takie dniówki...

— Ja. A może byćście sami sobie
zapisywali? — śmiał się. — Ale a-
wanturne — myślał idąc do stodoły
i to o cudze... Na wszelki wypadek
spłunął. Gdyby poszli do kierowni-
ka... Kierownika... Chromik szano-
wał go, bo tamten znał się na go-
spodarce — ale też był to człowiek,
że nigdy nie wiadomo, czego się po
nim spodziewać.

Monika patrzyła za biegącą ku
wózowi gromadą. Znowu została sa-
ma. Wystarczyłoby jedno słowo, żeby
pobiegła z nim, lecz nikt go nie po-
wiedzia. A przecież właśnie ona od-
kryła, że Wickowi i Jadwidzie po-
trąceno dniówki. Jeszcze czuła na
palcach rumieńce podniecenia, ale
nieśmiała się do niego. Znowu jest
sama. Ludzie odbiegli. Nikt z nich
nie pamiętał o jej istnieniu dłużej
niż przez te chwile, kiedy na scho-
dach przed tablicą żarliwie przeko-
nywała ich, by bronić sprawy tam-
tych dwojga. Ludzka krzywdą! Nie
można powiedzieć, że zobaczyła ją
po raz pierwszy. Dlaczego dopiero
teraz nie można było przeżyć mi-
mo?

W latach uniwersyteckich ojciec
Moniki lewicował trochę gorsząc en-
decką rodzinę. Czytał Marksa, raz
nawet pobito go w tłumie, gdy prze-
mawiał na improwizowanej mawo-
ce. Kiedy urodziła się córka, było to
już dalekie czasy. Wieczne ich przy-
pomnienie — matka, niegdyś stu-
dentka, córka kolejarza — powoli
wiedła w domu. Mąż zdradzał ją upo-
karzając. Liczyła na to, że dziecko
na nowo przywróci go do niej. Gdy
to się nie stało, cała gorczy zwróciła

się przeciwko Monice. Samotne i
smutne dzieciństwo.

— Do którego z pełnych młodzieży
wózów podesz? Tych ludzi nic z to-
bą nie łączy, po coś ty w ogóle je-
chała na brygadę, Moniko? Lekko
drzące brzozy nad drogą... i nagle:
Monika! Monika! Nika!

— Tu, koło mnie — krzyczy Jurek
i Monika opierając widły o szczeblę
nie przesługuje się do niego tak
zwinnie, jakby całe życie było tylko
szeregiem prób tego na pół tane-
cznego gestu. Jak bardzo jest mu
wdzięczna!

— Jurku — mówi — ty... i koń-
czy się śmiejącymi się oczami. „Książ-
kę”, któremu dziś przypaść przywi-
leż powołania, okrzykuje konie i wóz
podrywa się podracując siedzą-
cych. Wypoczęte Misie niosą rekor-
dowo, delikatne listeczki leżą z mi-
janych brzoź, które zbyt nisko zwie-
siły gałęzie, brzygi kałuż, ochlapują
to jedną, to drugą stronę wozu.

— Ach! — woła Elżbieta. Wstrzą-
śnięcie wozu podracza ją w czerwonej
chusteczce.

— Książę, oszalałeś! Konie zmarnu-
jesz! Konie! — krzyczy z końca
wozu Genek.

— Gdzie tam konie! Jemu o El-
żbietkę chodzi, bo mu się poro-
bija. — To Halina. Ta nawet nie
drgnie na podskakującym wozie,
tylko uchyla twarz przed chłostą
gałęzi.

— Ten kawałek „czapajewem”,
dobra, Książę?

— „Czapajewem” to znaczy prędko,
bardzo prędko. Tak, jak Czapajew
na filmie. Przy takich koniach jak



rys. Jerzy Cwiertnia

gniade Misie jest to zabawa nie la-
da.

— Trzymaj się mnie, bo pole-
cisz, Nika — woła Jurek.

— Przedzi! Przedzi!

Danusia i Hanka krzyczą, Ela
siedzi na dnie wozu, a Księciu-wo-
znicy twarz bieleje z niepokoju i
emocji. Lecz oto pagórek, wyższy
o niezłedne jeszcze zboże. „Czapa-
jew” urywa się.

— Szkoła komi — tłumaczy Książ-
kę — przez łąki pojedziemy galo-
pem.

— No, tym razem będziemy
pierwsi od kierownika, nie? —
Trzeba żeby ktoś do niego poszedł
w sprawie tych dniówek Jadwigi
i Wicki.

— Monika i jeszcze ktoś — mó-
wi Jurek — może ty, Genek?

— Ja? — czerwieni się Monika
i milknie. Chwilę czeka na drwinę,
która upadnie w serce jak kamień.
Szare oczy Jurka są spokojne.

— Czemu? — pyta. — To prze-
cież nic takiego. Jego ręka mocno
obejmuje Monikę, choć wóz już je-
dzie spokojnie i wolno.

Ciszę przerywa Halina. — Jest
się tam o co kłócić — mówi ni-

skim, dobitnym głosem — o tę pa-
rę złotych to wy tyle szumu robi-
cie, jakby nie wiedzieć co się sta-
ło.

— Nie o to chodzi — Książę zno-
wu odwraca się od koni.

— Co ma się cieszyć taki drab,
że kogoś nabrał! Sobie by nie po-
tracił, spokojna głowa!

— Słuchaj Halina — mówi z dna
wozu Ela — przecież nie o parę
złotych chodzi, tylko o to, że nie-
sprawiedliwość.

— Krzywdą zawsze będzie — od-
powiada Halina — nie w tym, to
w innym krzywdę mieć będziesz.
Tak już jest człowiekowi. — Jej ru-
miana twarz mroczniejsze, niebieskie
oczy patrzą w jakąś sobie tylko
wiadomą przeszłość.

— Halina, życie trzeba zmieniać!
Właściwie wartość życia... — mówi
Monika.

— To my zaraz na poszukiwanie
kierownika, pamiętaj, Nika — wo-
ła Genek.

— Ty, Halina, nie myśl tak. Jak-
by wszyscy tak myśleli, to co by
było?

Halina uśmiecha się z zakłopota-
niem, ale już nikt nie czeka odpo-
wiedzi. Droga rozwidla się. Dwa
pierwsze wozy nikną za małym za-
gajnikiem. Budzi się duch rywalizacji.

— Książę, łąkami! Przegonią nas!

— „Czapajewa” Książę!

— He-ej — woła Książę.

— Wio! — pokrzykuje cały wóz.

Tu na łąkach nie ma takiego błota,
tylko co pewien czas trafiają się
głębokie kałuże. Wtedy Książę ba-
tem wskazuje — uwaga na lewo!

— Ta Monika to takie nie wia-
domo co — odezwał się ze swojego
kąta Staszek. — Człowiekowi aż
czasem nieswojo. Odezwiessz się, a
ona tylko popatrzy i już masz do-
syć.

— Możesz się golić, — powiedział
Michał, odsuwając się od okna. —
Z drugiej strony dzisiaj... Aż jej
urody przybyło, kiedy nas przeko-
nywała, żeby bronić tych dniówek!

— A co ty, Jurek?

— Z nią to trzeba tak, po przy-
jacielsku. Myślę, że jej brak za-
ufania — do siebie i do ludzi.

— No, chyba nikt nie protesto-
wał kiedyś powiedział żeby szła w
delegacji.

— Zobaczymy, co załatwi.

— Idę po wodę — zakomunikow-
wał Jurek. — Trzeba się jednak
ogolić na te tańce.

Chromik nie wypierał się wcale.

— Tak, policzył mniej. Z jego tu-
maczeń wynikało jasno, że kierow-
nik powinien cieszyć się z tego. —
Państwowe pieniądze? No, to niech
lepiej państwu zostaną...

Po jego wyjściu kierownik ciężko
podniósł się zza biurka.

— Pracuję z nimi tyle czasu —
myślał i ciągle dziwił się, czemu
to nie wychodzi, tanto nie wycho-
dzi. Ciągłe te jare i ozime, ozime
i jare i zapomniało się o najważ-
niejszym. A może czasu nie było?

O, czasem byś się, bracie, przed
Grażyną nie tłumaczył — uśmiech-
nął się do fotografii w kartono-
wej ramce. Grażyna była jego córką,
miała 22 lata i studiowała geo-
logię w Leningradzie.

— Grażyna... Co by powiedziała?
— Po raz pierwszy myślę, że przyje-
dzie dopiero na przyszłe wakacje
zawierała cień ulgi. — Przez rok
tyle można zrobić...

*

Nazajutrz na tablicy, obok wy-
kresu norm i plac, było ogłoszenie
czerwonym ołówkiem. „Zebranie
Podstawowej Organizacji Pa.tyj-
nej”... — czytali kolejno przecho-
dzący.

*

Słońce grało jak szalone, więc
choćby było tu duszno, woleli sie-
dzieć w stodole niż wyjść na dwór.
Kierownik, który przyjechał z obia-
dem, pochwalił ich właśnie za po-
rządnie, do wierzchu układaną słomę
w sasiakach.

— A te niepełne dniówki już za-
łatwiłem — powiedział mimochodem.

— Na jaki temat zebranie? — za-
pytał ktoś.

— Widzisz, Halina — triumfowa-
li Genek z Elżbietą. — Tyś od ra-
zu był po naszej stronie, nie, Wi-
cek?

Wicek opuszczał oczy zakłopota-
ny. Nie występował nigdy przeciw-
ko Halinie, w ogóle odzywał się
rzadko.

— To było pierwsze pchnięcie —
szepnął Jurek Monice. — Myślałem,
że będzie trudniej. W każdym ra-
zie ci ludzie zobaczyli ZMP-owców.

— A ja? Mnie także policzył mię-
dzy ZMP-owcami? — myślała Mo-
nika.

— Wiesz, nigdy nie byłam taka
szczepiwa — mówiła w zamysłu,
unosząc na niego szare oczy.

— Ale mi w kości wlaźła ta
młockarnia! Zamienisz się, Michał?

— westchnął ktoś na górę.
Z sasiaka opadło kilka ździe-
beł słomy. W smugach światła od
okienek w dachu wirowały drobne
pyłki. Stodola zdawała się być peł-
na dogasających złotych iskr.

Kropie z drzew leśnych

MOTTO:

W miłości, podobnie jak w
sztuce, nie należy cytować te-
go, co rzekli inni, lecz mówić
to co się czuje.

ROMAIN ROLLAND

Młodość jest jedynym, niepowtar-
zalnym okresem w życiu ludziom,
okresem, kiedy prawie każdy jest
poetą, choć niewielu ujmuje pióro
w dłoń. Nie tylko przywilejem po-
etów jest mocne przeżywanie rado-
ści i smutków naszego życia, choć
ich wzrok jest bardziej wyostro-
żony, serce wrażliwsze.

Miłość, nienawiść, radość z od-
czucia piękna, nie często nawiedza-
ją człowieka, mało jest takich chwil,
ale tym skrajnie jest chwomę, czę-
sto sięgamy do nich pamięcią, chce-
my jeszcze raz przeżyć. Piękno po-
trafił objawić się z nagłą, oślnić z
niespotykaną siłą. Rozkwitający
kwiat, wychylający swój wykwintny
kszałt z zieloności traw, przeimu-
jące dźwięki muzyki Chopina, Grie-
ga, Beethovena, proste słowo ko-
cham, wzruszają, budzą niezwykłą
radość.

Kropka rosy przyczepiona do de-
likatnej, atlasowej trawy, błyszczą-
ca całą gamą kolorów w świetle za-
chodzącego słońca, wiatr niosący z
sobą upojny zapach wiosny szumi
cichutko, coś szepcze, tylko słuchaj
a pojmiesz...

Chciałoby się czasem to wszystko
cośmy przeżyć, co drzemie gdzieś
w głębi osobowości ludzkiej wyra-
zić słowem. Nie można!

Gdy znajdzie się wówczas pod
ręką książka bliskiego nam sercem
pisarza, wtedy znajdujemy siebie,
horyzont się rozjaśnia, podaliśmy
sobie dionie, zamieniliśmy z auto-
rem porozumiewawcze spojrzenie.

Szedłem przez las, lecz nie za-
wsze widziałem jego ukryte piękno,
nie słyszałem jego całej pieśni, sły-
szałem czasem poszczególne melo-
die. Ale miałem szczęście, odkry-
łem bratnią duszę, poetę piękną
przyrody. Wymieniliśmy serdeczny
uścisk. Odkrył przede mną ścieżkę
prowadzącą do serca lasu.

Pośród bezczuła drzew zaległ
milczący poranek, szron pobielł
październikowe liście, wiosna cze-
kała na słońce. Nagle pośrodku dro-
gi zatrzymałem się. Z oddali, gdzie
jarem płynął strumień, dobiegła
pierwsza leśna śpiewka. „Zwiśte
pod urwiskiem gęste, długie korze-
nie drzew zamienią się teraz
pod ciemnymi sklepieniami brzo-
gu w sople i coraz bardziej się wydłu-
żając dosięgły wody. I gdy wie-
trzy, choćby najłagodniejszy, wio-
senny, rozkołysał wodę i drobniut-
kie fale dosięgały pod urwiskiem
końców sopli, sople te falowały, bu-
jały się, zderzały, dźwięczały — i



ten dźwięk był pierwszym dźwię-
kiem wiosny, harfą eolską.*)

Przewróciłem znów parę kartek,
równie szeregi liter, słów, grały,
błyszczały pełnią radości, prawdzi-
wie ludzkiej myśli. Powietrze, roz-
grzane ciepłem popołudniowego
słońca, drgało, spłoszona szele-
stem sarna podniosła głowę, grana-
towymi oczami obejrzała nadcho-
dzącego i zwinnie usunęła się w
gąszcz, smutek zniknął, zielona, za-
znaczona wijącą się ścieżką per-
spektywa drogi kończyła się w śro-
dku słonecznej kuli. Spokój nad-
chodził wraz ze zmierzchem.

*

Stycziowa prasa doniosła o śmier-
ci Michała Prizwina. Kim był ten
człowiek? Napisano: jeden z naj-
większych stylistów rosyjskich, wy-
mieniano tytuły jego najlepszych
książek. Myślę jednak, że nasza
krótka pamięć nie ograniczy się
tylko do tego. Te książki trzeba
przeczytać. Wiele wtedy pięknych
słów można by o nim powiedzieć.
Ale czuję, że starczy jedno, nie o
nim samym — jaki był, lecz co
robił. Kochał. Proszą, gorącą mi-
łością kochał człowieka i przyrodę.
Pisał jak czuł i myślał.

Urodzony w roku 1873 wiele po-
drożował, pisał z surowym życiu
myślowym i rybaków, o słońcu, zi-
mie, wiosnie, kwiatach, śpiewie
ptaków... Prosto i pięknie pisał.
„W kraju nieposłusznego ptactwa”,
„Czarny Arab”, „Kropie z drzew
leśnych”, „Korzeń życia”, „Z księ-
gi przyrody”, „Szara sowa” — oto
tytuły niektórych tylko jego książ-
zek. Dożył przeszło 80 lat. Młodym
ku uważałem rzekł: „Talent — to
według mego zdania, zdolność czyn-
ienia więcej niż jest potrzebne
mnie samemu, to zdolność opiewa-
nia nie siebie lecz na przykład —
wschodzącego słońca”.

JERZY RUDKE

*) Michał Prizwin — Kropie z
drzew leśnych.

PODROŻ DO ŚRODKA ZIEMI



Słynnego uczonego niemieckiego Aleksandra Humboldta nazywano często „chodzącą encyklopedią”. Na każde najbardziej skomplikowane pytanie potrafił on udzielić natychmiastowej odpowiedzi, stanowiącej niekiedy cały obraz poetycki.

Pewnego razu, na jakimś prozornym obiedzie, zapytano go, co znajduje się we wnętrzu Ziemi.

— Przed kilkoma właśnie dniami — odpowiedział uśmiechając się Humboldt zgłosił się do mnie jakiś tajemniczy kapłan, prawdziwy typ wilka morskiego. W wielkim zaufaniu zakomunikował mi on, że w pobliżu bieguna północnego, gdzie niedawno był, znajduje się olbrzymia przepaść, otoczona czerwona koroną zorzy polarnej. Odważny marynarz nie zawahał się spuścić do tego głębokiego zła wodnącą prosiłeczkę do środka Ziemi i zował nagrodą za swoją odwagę wspaniałym widokiem. Kula ziemiska jest wewnątrz pusta, jak grzechołka dziecięca, i w tej olbrzymiej przestrzeni krąży wokół siebie małe gwiazdy — Pluton i Proserpina. Oświecone ich niepowymyślnymi światłami, dotychczas brodzą po wewnątrz trzęsieniami Ziemi potwory świata pierwotnego.

— I to jest prawda? — zapytała uczonego zdumiona sąsiadka.

— Byłoby to bardzo piękne, gdyby było prawdą — odpowiedział uśmiechając się Humboldt. — W rzeczywistości zaś, według ścisłych danych naukowych...

I w kilku treściwych zdaniach nakreślił on obraz życia kuli ziemskiej według danych współczesnej nauki.

— Twarda ziemia, na której żyjemy — to tylko powłoka. Jest ona cieniszka od powłoki balonu i raczej przypomina błonkę pecherza mydlanego. Już na głębokości piętnastu kilometrów skorupa ziemiska mięknie i zamienia się w ognistą płynną lawę, a dalej szaleje ocean wiecznie płonącego ognia. Niekiedy owo ogniste morze gazowe zaczyna burzyć się i wówczas trzęsieniami Ziemi, następuje to, co nazywamy trzęsieniem ziemi. Kiedy zaś pęknie, nie wytrzymałe napęcia, ognista lawa wypływa na powierzchnię i następuje erupcja. I to całe szczęście. Zlejąc się ogniem góry są prawdziwymi kłapami bezpieczeństwa naszej Ziemi, podobnymi do kłap bezpieczeństwa koca parowego. Gdyby ich nie było, planeta nasza dawno zostałaby rozsądzona.

Dziś z punktu widzenia współczesnej ścisłej nauki, obraz nakreślony przez Humboldta jest nie mniej fantastyczny, aniżeli opowiadanie tajemniczego kapitana o próżni wewnątrz Ziemi. Teoria ta jednak przetrwała półtora stulecia.

URODZAJ HIPOTEZ

Wiek dziewiętnasty był wiekiem spekulatywnych teorii, usiłujących wytłumaczyć wszystko co się dzieje na świecie. Nieprzypadkowo Humboldt całe swoje życie pracował nad olbrzymim dziełem pt. „Kosmos”, w którym usiłował zebrać w jedną całość wszystkie nasze wiadomości o świecie zewnętrznym. Rozum ludzki, wyruszywszy do walki z duchową dyktaturą Kościoła, szukał chciwie odpowiedzi na szereg niewyjaśnionych zagadnień. Jedną po drugiej powstawały hipotezy jeszcze niesprawdzone przez fakty, a przyjmowane już przez naukę jako bezsporne. Uczniowie dziewiętnastego stulecia sądzili, że wiedzą już, jak rodzą się gwiazdy i planety, jak powstało życie na Ziemi, co znajduje się w środku Ziemi.

Hipoteza Laplace'a, według której Słońce i planety utworzyły się z olbrzymiego skupiska rozżarzonego gazu, tak śmiało wystąpiła przeciwko światopoglądowi religijnemu, że na długo pozostała sztandarem postępowej nauki. „Nigdzie nie napotkalem imienia Boga w pańskiej książce” — powiedział Napoleon do Laplace'a. „Ta hipoteza nie była mi potrzebna” — odpowiedział z godnością uczonego. Ale odegrawszy olbrzymią pozytywną rolę, teoria ta jak gdyby zahypnotyzowała uczonych. I kiedy fakty coraz uporczywiej zaczęły się domagać innego objaśnienia, astronomowie jedynie „latali” teorię Laplace'a.

Uczniowie, którzy przyjęli teorię Laplace'a — a Humboldt był przajacielem tego astronoma francuskiego — uważali za logiczne przypuszczenie, że Ziemia jest ostygłą gwiazdą, pokrytą popiołem. Wew-

zyskanlu stopnia magisterskiego, zapragnął poznać osobowości swojej ojczyzny. Uwagę jego przyciągnęła dziwna góra, z której dobywały się dźwięki przypominające szczeni. Klimm poprosił owoch uczonych mężów — astronoma i geologa — aby pożyłymi linie, a sam, przywiązany do niej, opuścił się w bezdenną przepaść. Roztargnieni uczeni, pochłonięci sporem na temat tego co znajduje się we wnętrzu Ziemi, puscili linie i nieszczęśliwy absolwent pojechał w dół. Długo tak leciał w całkowitym mroku. Lecz stopniowo ciemność zaczęła się rozpraszać, jakkolwiek nie widział on ani Słońca, ani innych ciał niebieskich. Nagle podciął do Klimma potworny gryf. Nie chwycił go za szyję, usadowił się na nim i powoli wyładował na powierzchnię jakiejś planety, obracającej się wewnątrz pustej Ziemi.

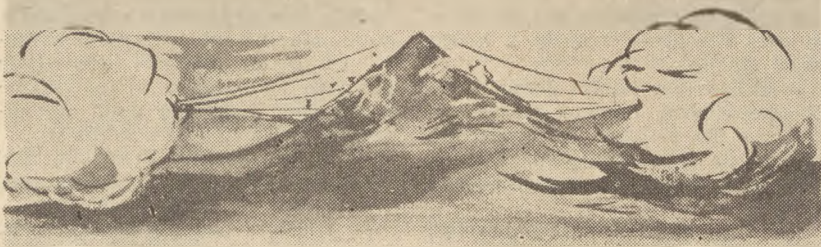
Planeta Nazar, na której wylądował Klimm, miała w obwodzie wszystkiego dwadzieście mil niemieckich, czyli około półtora tysiąca kilometrów. Zamieszkiwali ją ludzie — drzewa, pozbawione korzeni i poruszające się niezwykle wolno. Liczba galezi oznaczała stanowisko społeczne obywateli. Sekretarz królewski miał na przykład dwadzieście galezi i mógł pisać równocześnie dwadzieście listów. Za to myślał tak powoli, że tracił na odpowiedź kilka miesięcy. Była to oznaka mądrości państwowej, gdyż na Nazare uważano za najmądrzejszego tego, który myśli najdłużej.

Ookoła planety Nazar obraca się satelita. Martynia, zamieszkała przez mały, w tym podziemnym świecie, został wyrzuciony przez wybuch na kamienie „niebo”, znów dostał się do wylotowej góry i powrócił do rodzinnego Bergenu, aby zająć skromne stanowisko pomocnika dzwonnika.

Oczywiście dla poety duńskiego powieść fantastyczna była jedynie pretekstem dla stworzenia satyry na współczesne mu społeczeństwo. Lecz książkę tę należy wspomnieć jako pierwszą w świecie „literacką podróż” do wnętrza Ziemi.

„Podróż do środka Ziemi” Juliusza Verne'a jest bodaj najlepszym utworem z tej serii fantastycznych podróży do nieznanego jeszcze nauce wnętrza naszej planety.

Młody Juliusz Verne, który dopiero co zdobył sławę swoją pierwszą książką z serii „Niezwykłe podróże”, poszukiwał tematu do następnej powieści. W tym czasie poznął on geologa-entuzjastę Saint-Claire Deville'a, który uważając Ziemię za ciało chłodne, kilkakrotnie usiłował schodzić do kraterów wygasłych wulkanów i pewnego razu znalazł się w kraterze Stromboli podczas wybuchu. Saint-Claire Deville nie tylko podsunął Verne'mu temat, lecz stał się dla niego wzorem postaci uczonego-fantastyka gotowego poświęcić życie dla ukochanej nauki. Bohater powieści profesor Lindenbrok z dwoma towarzyszami opuszcza się do krateru wygasłego wulkanu na Islandii i okazuje się w cudownym świecie podziemnym, oświetlonym przez słabe światło elektryczności, którą nasycone jest powietrze tej krainy jaskiniowej. Odważni podróżnicy oglądają podziemne morze, lasy roślin pierwotnych dawno



Wiatr gromadzi ziarenka piasku jedno na drugie.

ci Ziemi. Rzeki rozmywają grunt i tworzą doliny, a ich dawne brzozy stają się górami. Rosa, podniecioną przez Słońce, unosi się sobą cząstkami ziemi, które składają się na olbrzymie góry...

Wreszcie powstanie gór przypisywano magicznemu wpływowi ciał niebieskich. Gwiazdy przyciągały Ziemię, jak magnes ciągnie do siebie żelazo. I tam, gdzie nad Ziemią jaśnieje szczególnie dużo gwiazd, wyrastają najwyższe góry. Lecz ciała niebieskie umieszczone są nad Ziemią niejednako — jedne wyżej, inne niżej. Znaczy to, że tworzą one niebiańskie szczyty i doliny. Pokorna ich magiczna władza Ziemia powtarza ten gwiazdny wzór, który odbija się na niej, jak pieczęć na rozgrzanym wosku.

Za prawdziwego twórcę współczesnej nauki o Ziemi należy uznać M. W. Łomonosowa. Opierając się na bardzo małej liczbie znanych w owym czasie faktów, genialny uczonego potrafił głęboko przeniknąć swoim rozumem — „rozumnymi oczami”, według jego wyrażenia, — w głąb naszej planety. On pierwszy wskazał na konieczność badania Ziemi w jej rozwoju, na to, że współczesne oblicze Ziemi stworzyły siły działające i obecnie.

Lecz aby poznać te potężne siły kryjące się we wnętrzu naszej planety, trzeba było przeniknąć tam nie tylko „mądrymi oczami”, lecz i „oczami” precyzyjnych przyrządów, całym potężnym arsenałem współczesnej nauki. I trzeba było na to całych dwóch stuleci.

PODZIEMNE WĘDRÓWKI

Lecz śmiały marzyciele nie mogli czekać tak długo. Udał się sam w podróż do środka Ziemi przynajmniej... w wyobraźni.

W 1741 r. Niel Klimm, syn bergeskiego zakrystiana, bohater powieści poety duńskiego Ludwika Holberga „Podróż podziemna”, wracając do domu po

tastyczną „Plutonia”, którą do dnia dzisiejszego zacytuje się młodzi radziecka.

OGNISTY OCEAN

Dawne hipotezy o wewnętrznej budowie Ziemi powoli umierały: wyparła je teoria o ognisto-płynnej Ziemi pokrytej twardą skorupą. Lecz starzający się Humboldt w żaden sposób nie mógł zakończyć swego „Kosmosu” — dane jednych nauk były sprzeczne z wnioskami innych, fakty — cała armia nowych faktów — burzyły obraz, który usiłował stworzyć w ciągu całego swego życia.

Jeżeli pod cienką skorupą ziemską, mniej trwałą niż błonka pecherza mydlanego, rzeczywistość szaleje ocean ognisty, to czemu nie ulega on sile przyciągania Słońca i Księżyca, dlaczego nie odczuwamy podziemnych przypływów i odpływów, straszniejszych niż najstraszniejsze trzęsienia Ziemi?

Czym są nawet największe wulkany w porównaniu z potwornym morzem ognia? Niczym więcej jak nieznacznymi ukłuciami szpilki na olbrzymim globusie. Czy mogą te drobne otwory stanowić klapy bezpieczeństwa?

Geologowie nie znajdowali na Ziemi żadnych śladów strasznych katastrof wstrząsających niegdyś całą naszą planetą. Pojawili się nowe teorie górotwórcze, nie uwzględniające sił wulkanizmu. Uczniowie posłali ciężar właściwy Ziemi i stwierdzili, że nie może ona być płynna. Siła ciężkości okazała się w różnych miejscach niejednakowa: jak gdyby pod nogami badaczy znajdowały się olbrzymie bryły z różnych materiałów, a nie jednorodny, ognisto-płynny ocean, oddzielony jedynie cienką powłoką — cienszą aniżeli papier, którym okleja się globus.

I uczeni usiłowali pogodzić starą teorię z nowymi faktami.

Zwiększali oni grubość skorupy ziemskiej, spychali daleko w głąb ocean magmy i na jego miejsce lokowali poszczególne jeziora, zbiorniki płynnego ognia — źródła erupcji wulkanicznych.

Ustallili oni, że masa Ziemi nie może być jednorodna: głębiej powinny spływać cięższe metale — żelazo i nikiel. Pozostałe substancje rozmieszczają się warstwami w zależności od ich ciężarów właściwych.

„Wnętrze kuli ziemskiej — pisał w roku 1839 geolog rosyjski D. Sokolow w swoim „Kursie geologii” — stanowią jak gdyby palenisko pieca hutniczego, w którym dolną część zajmują zawsze metale, a górną żużel”.

W taki sposób zrodził się przez analogię z piecem hutniczym model Ziemi, który przetrwał prawie do naszych czasów.

Jakież więc siły cyklopiczne podnoszą ku niebu śnieżne szczyty gór, tworzą nie zbadane jeszcze przez nas najgłębsze zapadliska oceaniczne? Skąd czerpią swoją energię katastrofalne trzęsienia ziemi, takie jak kalifornijskie, które zbурzyły w roku 1906 San-Francisco, lub japońskie z roku 1923, które pochłonięło sto tysięcy ofiar ludzkich i pozbawiło dachu nad głową ludność trzech miast? Jaka jest przyczyna takich straszliwych wybuchów wulkanicznych, jak wybuch wyspy Krakatau, który wzburzył wszystkie oceany świata, był słyszany na odległość trzech i pół tysiąca kilometrów i wyrzucił do stratosfery dziesiątki kilometrów sześciennych pumeksu i popiołu.

Tutaj wystąpiła na scenę nowa, skomplikowana i „wszechogarniająca” hipoteza kontrakcji — hipoteza kurczenia się kuli ziemskiej — typowa teoria dziewiętnastego wieku z liczby tych, które chciały wszystko wytłumaczyć.

Kontrakcjoniści demonstrowali nawet model Ziemi w procesie górotwórczości — zleżałe, zgnie jabłko z pomarszczoną skórą, pokrytą podłużnymi fałdami...

FANTASTYCZNE I DEKADENCKIE

Tak powstał stopniowo pesymistyczny obraz powoli umierającej planety. Im dalej, tym powolniej i słabiej przebiega

proces górotwórczości — skorupa ziemska zgrubiała już do tego stopnia i została potnieją w fałdy, że siła przyciągania z każdym wiekiem sięgnęła i wygasła wulkan, a siły przyrody nie zmordowanie prowadzące swoją pracę niszczycielską, stopniowo wyglądają oblicze Ziemi. Góry rozpadają się na odłamki — niszczy je gorąco i zimno, woda i lód, gazy atmosfery i żywe organizmy — zwierzęta ryjące i korzenie roślin Lodowce znoszą odłamki w dół, wyglądają zbocza dolin, wody płynące znoszą do oceanu piasek i rozwozy mineralów, stopniowo zapelniają zagłębienia morzy swoimi osadami. Wiatr unosi pył i zasypuje nim, jak popiołem, zniwelowaną powierzchnię planety...

Droga rozwoju nauki nie jest prosta ani łatwa. Rodzi się ona w walce. Walka ta nie ustala i obecnie, a nawet w naszych czasach zaostrzyła się jeszcze bardziej. Jesteśmy świadkami walki pomiędzy prawdziwą postępową nauką, uzbrojoną w wszechpotężną broń materializmu dialektycznego a reakcyjną nauką burżuazyjną, usiłującą w naszych czasach stać się służą teologii.

Hipoteza kosmogoniczna Laplace'a, hipoteza ognisto-płynnej Ziemi, teoria kontrakcyjna były w swoim czasie postępowe i spełniły swą rolę w walce z ignorancją i wstecnictwem. Nowe fakty, nowe metody badawcze obaliły te

siły, jaka toczy się pod naszymi nogami. Klucz do teraźniejszości i przyszłości naszej planety tkwi w jej przeszłości i przede wszystkim w dziejach jej narodzin.

Według teorii członka Akademii O. J. Szmidta, Ziemia nasza nigdy nie była gorąca. Zrodziła się ona z chłodnych cząstek pyłu kosmicznego, który niegdyś otaczał Słońce w postaci olbrzymiego obłoku. Te kamienne i metalowe cząstki stopniowo zlepiały się, tworząc zawiąski obecnych planet, a na ich powierzchni wciąż padał czarny deszcz pyłu kosmicznego. W pewnym momencie, kiedy ciśnienie w środku takiej kuli pyłowej przekroczyło pewną granicę, nastąpił skok: materia zmieniła swoje właściwości i wewnątrz planety pojawiło się ciężkie jądro. Jądra takie mają wszystkie wielkie planety i nawet Mars, lecz nie mają go ich satelity ani Księżyc, którego masa jest zbyt mała i ciśnienie wewnątrz nie dośięga duże, aby materia przeszła w fazę metaliczną.

Lecz życie wewnętrzne planety nie zakończyło się na tym. Materia w jej wnętrzu różnicuje się w dalszym ciągu aż do naszych dni. Lżejsze bryły powoli „wypływają” na wierzch, a ciężkie opadają w dół. Pod naszymi nogami płyną niesłychanie powoli olbrzymie twarde rzeki, posłuszne sile ciężenia.

W warunkach olbrzymich ciśnień panujących we wnętrzu Ziemi, materia nabiera dziwnych, sprzecznych, niezwykłych właściwości. Jest ona ani stała, ani płynna, ani lotna. Jest to specjalny stan, podobny do stanu szkła, a wszak nie bez powodu chemicy nie chcą uważać szkła za ciało stałe i uważają je za przechłodzony płyn. Szklista substancja Ziemi posiada równocześnie właściwości ciała stałego i płynu: reaguje na uderzenia jak najtwardsza stal i może płynąć jak smoła, lecz miliardy razy wolniej niż zwykłe płyny.

A co najważniejsze, Ziemia wcale nie jest stygnącą i powoli umierającym ciałem, jak twierdzili niekiedy kontrakcjoniści. W jej tajemniczych głębiach i obecnie walczą tytaniczne siły, wstrząsające niekiedy jej wciąż jeszcze młodym ciałem.

Siły ciężenia, które powodują podnoszenie się i opadanie olbrzymich brył materii, skupiają się niekiedy stwarzając olbrzymie napięcia, które rozładują się nagłym wybuchem. Wówczas przez całą masę planety przechodzą fale sejsmiczne, wywołujące na powierzchni trzęsienia ziemi.

Obliczono, że moc silnych trzęsien ziemi osiąga siłę trylionów koni mechanicznych. Siła ta, jeżeli przemieni się w ciepło, wystarczy do roztopienia otaczających skał i wywołania silnych wybuchów wulkanicznych.

Substancje radioaktywne — uran, rad, tor — emitują również ciepło. I jest jego tak wiele, że niekiedy uczeni uważają Ziemię nie za stygnącą lecz, przeciwnie, rozgrzewającą się ciało niebieskie.

Siły odśrodkowe spłaszczają Ziemię i zmieniają jej kształt. Nie na próżno mówią, że „Missisipi płynie w górę”: ujście tej rzeki znajduje się dalej od środka Ziemi, aniżeli jej źródła.

Wewnątrz naszej planety ukryte są siły elektryczne, siły magnetyzmu ziemskiego. Ruchy materii bądź zwalniania, bądź przyspieszania jej obrotu, a księżycowe i słoneczne przypływy starają się go zahamować. Oblicze Ziemi zmieniają nie tylko siły przyrody, lecz i człowiek.

Teoria życia wewnętrznego Ziemi, opracowywana obecnie przez profesora W. W. Bielousowa, która uwzględniła działanie wszystkich tych sił, mówi nam, że nasza Ziemia wcale nie jest umierającą planetą, a być może nigdy nie była tak młoda, jak obecnie — nigdy góry nie były tak wysokie a baseny oceaniczne tak bezdenne. I jeżeli Ziemia ma już za sobą dwa czy trzy miliardy lat, to przed sobą ma nie mniej niż dziesięć miliardów — dziesięć tysięcy razy więcej, aniżeli trwa: cała historia ludzkości, począwszy od czasów najbardziej zamierzonych,



Gwiazdy jakoby przyciągają Ziemię, jak magnes, i tam gdzie jest ich szczególnie dużo, wyrastają góry.

teorie. Burzący naukę zaś nauka nie jest już w stanie stworzyć wielkich uogólniających hipotez.

Od czasu do czasu pojawiają się na Zachodzie nowe hipotezy, usiłujące wyjaśnić tylko oddzielne procesy poszczególne strony życia naszej planety.

W większości wypadków przypominają one raczej fantastyczne powieści, i zwykle zdumiewają wewnętrzną lekkośnością, daleką od rzeczywistości, opierając się na zupełnie dowolnych przypuszczeniach.

Astronom angielski G. Darwin ustalił, że falę przypływu stopniowo zwalniali obrot Ziemi, a Księżyc bardzo powoli oddala się od swojej planety macierzystej. Zagłębienie w przeszłość ustalił on, że kilka miliardów lat temu doba trwała dwadzieścia cztery godziny, i tyleż miesiąc księżycowy. Wynika z tego, według G. Darwina, że obie planety tworzyły wówczas jedną całość, a siła odśrodkowa rozzerwała pierwotne ciało na dwie części.

Rozwijając dalej tę teorię, astronom amerykański Pickering wysunął hipotezę, że współczesny Pacyfik jest „blizną na ciele Ziemi”, miejscem skąd cił macierzystej planety oderwał się Księżyc.

ZACZYNA ŻYC

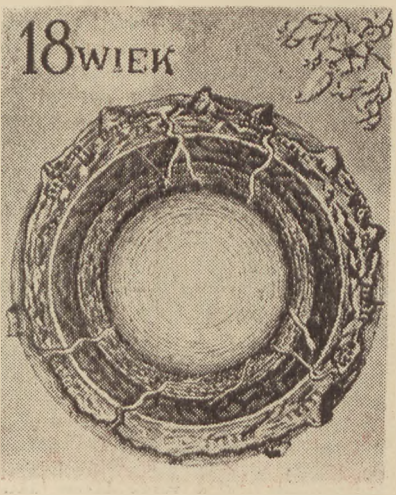
Innymi drogami kroczy nauka radziecka. Uczni radzieccy, badający życie Ziemi, śmiało oświecają swoją drogę uogólniającymi hipotezami, lecz tworzą je na podstawie olbrzymiej liczby faktów nagromadzonych przez różne nauki. Nie odstrasza ich sprzeczności w tych faktach, przed którymi zatrzymują się beznadziejnie badacze burżuazyjni. Uczni radzieccy wiedzą, że przyroda wcale nie jest prosta i że wszystko w świecie rozwija się w walce przeciwieństw — tak uczy filozofia materializmu dialektycznego.

Ziemia jest zimnym ciałem, które nigdy nie było gwiazdą, lecz z jej wnętrza wydobywały się potoki roztopionej lawy i tryskają wrzące gejery. Ma ona stosunkowo jednorodny skład, lecz dzieli się na szereg powłok o różnych właściwościach fizycznych oraz bardzo ciężkiego jądra. Jest ona trwalsza od stali, a równocześnie w jej wnętrzu płyną całe rzeki substancji kamiennej, na powierzchni wznoszą się góry i morze atakuje brzozy. Jest ona idealnym zegarem, na podstawie którego sprawdzamy swoje chronometry, lecz szybkość jej obrotu to zwalniana się, to przyspiesza.

Rozwiązanie wszystkich tych przeciwieństw tkwi w zadziwiających właściwościach substancji wnętrza Ziemi, znajdujących się pod olbrzymim ciśnieniem wynoszącym miliony atmosfer, w walce wielu



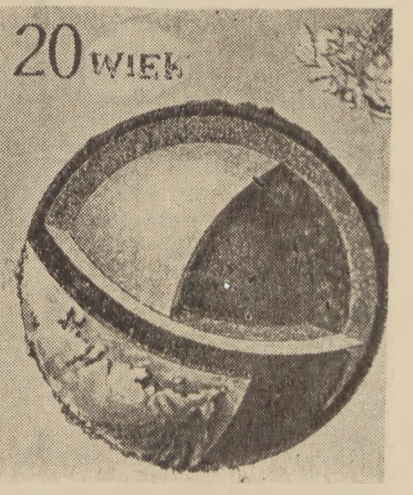
Centralne jądro Ziemi — wieczne płonące ognie. Tak wyobrażali sobie budowę Ziemi niektórzy uczeni siedemnastego stulecia.



Nie! Nie ogień, a woda znajduje się w środku Ziemi, twierdzili liczni uczeni osiemnastego stulecia.



Nie ogień i nie woda, a ciastowata substancja tworzy tajemnicze jądro Ziemi. Magma — ciasto po starożytności — zapelnia środkową część Ziemi, zapewniali badacze.



Zwiastujemy dalekich światów, odłamki rozbitych ciał niebieskich nasunęły uczonym myśl, że w środku Ziemi znajduje się metaliczne jądro.

O aktywie, anatomii, Napachaniu i Wiktorze Hugo

Na dwóch stołach leżą zwłoki. U jednych mamy marskościę przerostową wątroby, u drugich — zanikową. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób przystąpi pan do otwarcia zarówno jednych jak i drugich zwłok?*

Kolega Sukiennicki z III roku wydz. lekarskiego przystępuje do konkretnej odpowiedzi. Marmurów stół w sali Zakładu Anatomii Patologicznej, przy którym stoi profesor, jest w tej chwili pusty, jednak studentom nie trudno wyobrazić sobie leżące na nim zwłoki. Sesja egzaminacyjna w poznańskiej Akademii Medycznej rozpoczęła się.

„Halo — Komitet Uczelniany ZSP? Powiedzieć mi, ile macie w tej chwili podpisanych umów na brzołowy żniwne? Co — 438 do 20 maja?... No to nieźle”. Jurek Sikorski — przewodniczący Zarządu Dzielnicego ZMP — odkłada słuchawkę na ułamek i uśmiecha się. Wielu z przewodniczących zarządów uczelnianych, czy dzielnicowych, z którymi dotychczas się spotykałem, to ludzie zalatani, wprost rozrywający się, by mogli załatwić wszystko, co ich zdaniem do nich należy. Ofiarni, pełni poświęcenia, rezygnują często z życia osobistego, z rozrywków, z chwili odpoczynku. A przy tym tak często robota „nie klei się”.

Popatrzmy na Sikorskiego, chłopaka tak ujmującego innych swym wiecznym życzliwym uśmiechem. Przewodniczącym ZD ZMP przy poznańskiej Akademii Medycznej został niedawno — w marcu br. — Przedtem pełnił funkcję instruktora organizacyjnego w Zarządzie ZMP wydziału lekarskiego. Jurek doszedł do wniosku, że tylko wtedy praca zarządu będzie dobrze się rozwijała, bez szkody dla pracujących w nim aktywistów, jeżeli rozłoży zadania na cały kolektyw. Wkrótce każdy otrzymał swój odciśnięty znaczek. Robota ruszyła.

Zadaniem organizacji ZMP na wyższej uczelni jest wychowanie dobrego fachowca i to fachowca kulturalnego, uczciwego człowieka i społecznika. Popatrzmy na plan szkolenia, jaki przerabiali ZMP-owcy Akademii w bieżącym kwartale. „Lekarz wczoraj i dziś — jego postawa moralna i społeczna”. Jako podbudowę do dyskusji zalecono zapoznanie się z prowadzoną na naszych łamach rozmową „O moralności na codzień”, z filmem „Wielki lekarz” i przede wszystkim z wypowiedzią tow. Stachelskiego na II Zjeździe Partii. Ze takie szkolenie było potrzebne i że temat jego wzięli sobie studenci mocno do serca świadczyły najlepiej wypowiedzi dyskusyjne na zebraniach grup. Charakterystycznie postawę lekarzy pracujących w miejscowościach, skąd pochodzą studenci, przypominano sobie własne zachowanie podczas zajęć w klinikach. Ten temat „chwycił”

„Chwycił” również dalsze tematy szkolenia — dyskusje nad filmem wstoskim, nad „Celulozą” i bohaterami „Piątki z ulicy Barskiej”.

Pisaliśmy niedawno o sytuacji w warszawskiej AM, gdzie studenci starszych lat chwytają się najróżniejszych środków, by po zrobieniu dyplomu pozostać w stolicy. W Akademii poznańskiej jest często odwrotnie, bo na przykład kol. Arasimowicz mimo propozycji Zakładu Radiologii, który chciał zatrzymać go w Poznaniu, domaga się wysłania na prowincję, a kolega Kolodziejewski długo musieli tłumaczyć towarzysze z egzekutywy, by pozostał na uczelni, gdzie może więcej zrobić niż w terenie. Pisząc o poznańskich medykach nie sposób nie wspomnieć tu o Napachaniu — pupilku AM.

Współpracę z jedną z najstarszych w powiecie spółdzielni produkcyjnych — Napachanie rozpoczęło po IX Plenum KC. Do wioski tej co tydzień wyjeżdżają lekarze z uczelni, a co dwa tygodnie pojawia się tam ambulans stomatologiczny. Gospodarczym sposobem na koszt AM powstaje w tej chwili w Napachaniu stały gabinet lekarski. Pierwszego Maja mieszkający tej wsi otrzymali od studentów dwustutową biblioteczkę. ZMP-owcy z Poznania opiekują się napachaniskim koletem ZMP i oni pomagają im w bieżącym miesiącu w organizacji raidów kolaryskich. Także zespoły artystyczne AM z każdym nowym programem odwiedzają „swoją” wioskę.

W pokoju Zarządu Dzielnicego ZMP znajduje się gruby zeszyt, w którym figurują nazwiska aktywistów. Poniżej wypisane są nazwy przedmiotów zdawanych przez nich w okresie bieżącej sesji. Ten zeszyt, w którym trzeba własnoręcznie wpisywać na bieżąco oceny uzyskane z egzaminów — to jeden z ważnych sprawdzianów pracy Zarządu Dzielnicego. Co prawda wśród fotografii przedmiotów nauki, wywieszonych na tablicy przed gmachem — co najmniej 90 proc. to aktywiści ZMP-owscy, ale przecież każdy egzamin to nowa ciężka próba.

Najważniejszą chyba cechą Zarządu Dzielnicego przy AM jest to, że w nawałe pracy organizacyjnej nie traciła z pola widzenia pojedynczego człowieka.

Studenci I roku pamiętają sprawę Barbary Klupś — usuniętej z uczelni za brak postępów w nauce. Barbary nie udało się zatrzymać na uczelni, jednak Zarząd Dzielnicego nie pozostawił jej samej sobie. Barbara ma słabe zdrowie i w tym okresie miała wiele kłopotów osobistych. Kolektyw Jurka Sikorskiego postarał się dla niej o uczasy lecznicze. Barbara Klupś wyjechała do Krynicy.

Podobnie zajęło się koleżanką z I roku farmacji, która chciała zrezygnować ze studiów. Przyczyną była niechęć rodziców pragnących, by ich córka zamiast studiować, pracowała zarobkowo. Wytłumaczono jej, że nie powinna odchodzić z

uczelni. Postanowiono w razie trudności porozmawiać z rodzicami. Koleżanka ta przygotowała się obecnie do sesji. Podobnych przykładów troskliwego stosunku do ludzi w pracy ZD przy AM można by wyciszyć więcej.

Przypominam sobie rozmowy z aktywistami Akademii Medycznej w Szczecinie. Skarżyli się oni, że na uczelni medycznej nie można pogodzić pracy społecznej z nauką ze względu na trudne przedmioty nauczania, ze względu na brak czasu.

A przecież kolektyw ZD ZMP przy poznańskiej Akademii nie tylko osiąga dobre wyniki w nauce i pracy społecznej. Taki na przykład Jurek Sikorski, Mitek Bulakowski i inni są również czynnymi członkami kół naukowych. W związku ze świętem 1 Maja podjęli zobowiązanie zbadania dzieci pracowników ZISPO przed wyjazdem na kolonie letnie. Do rozpoczęcia sesji aktywności ZD przebadali około 800 dzieci.

Mimo tych licznych zajęć, Jurek Sikorski codziennie czyta około 50 stron dobrej beletrystyki. Ostatnio na przykład studiował Wiktora Hugo.

Zdradzę jeszcze jedną tajemnicę — Jurek Sikorski ma narzeczoną, chodzi z nią na spacer i do teatru.

Dobre wyniki w pracy kolektywu poznańskiej AM, to chyba nie tylko kwestia dobrego zorganizowania sobie zajęć i obowiązków. To chyba sprawa dobrego, zwanego kolektywu przyjaciół, którzy widzą cel swej pracy, widzą swe miejsce na uczelni i w społeczeństwie.

Rozmowę w pokoju Zarządu Dzielnicego przerywa telefon. Dzwoni asystent Burchart. Profesor Groniowski z powodu braku czasu w dniu jutrzejszym przekłada egzamin z anatomii patologicznej na dzień dzisiejszy. Za godzinę zacznie egzaminować.

Jurek Sikorski nie jest zaskoczony. — Trzeba się jeszcze ogolić — dochodzi do wniosku.

W sesji kontrolnym wyników sesji znajdującym się w pokoju ZD — na pierwszej stronie znajduje się nazwisko Jurka.

T. JASZCZYK

Życia NASZYCH UCZELNI

JEDZIEMY NA ŻNIWA

Aby przyjąć z pomocą rolnictwu studenci wszystkich uczelni zgłaszają swój udział w akcji żniwno-omłotowej. W naszej uczelni do chwili obecnej zgłosiło swój udział 12 grup studenckich. Wśród nich zasługują na wyróżnienie grupa „D” I roku wydz. technologicznego żywności, która zgłosiła swój udział w 100% wraz z opiekunem — asystentem Stanisławem Ociepką i grupa „F” I roku wydz. handlu, która pojedzie na żniwa z prof. Zygmuntem Klawem.

EMIL GARCZYŃSKI
WSE — Częstochowa



*

Jak corocznie tak i podczas tych wakacji wyjeżdżamy do PGR na żniwa. Zgłaszają się już wszystkie grupy naszej uczelni. Grupa SK I roku wydz. finansowego zgłosiła się w 90% a grupa „F” w 80%. Zespoły wyjeżdżające na akcję żniwną myślą już teraz o ożywieniu życia kulturalnego na wsi i przygotowują się do występów artystycznych.

ZENON SZCZYPA
WSE — Szczecin

WARTO BRAĆ PRZYKŁAD

Geografia gospodarcza i polityczna to bardzo ciekawy przedmiot — mówią studenci z WSE w Szczecinie, a tym bardziej jest ona ciekawsza, gdy potrafi się ją interesująco wykladać.

Pierwszy rok wydziału transportowego i finansowego studiujące geografii gospodarczą i polityczną świata. Prof. dr Mikołajski, wykładowca geografii, chcąc jeszcze bardziej zainteresować studentów tym przedmiotem udostępnił wszystkim korzystanie w każdej chwili

ze swej katedry, w której znajdują się mapy.

Obecnie przerabiamy geografii gospodarczą państw kapitalistycznych. Prof. dr Mikołajski wspólnie z kolem naukowym przy Katedrze Geografii urządził gablotkę, w której umieszczona jest mapa świata (tylko kontury). Pod mapą u dołu są zamieszczone artykuły z ostatnich wydarzeń światowych natury politycznej i gospodarczej.

I tak np. niedawno zamieszczono artykuł pt. „Interesy Francji a wojna w Indochinach”, gdzie opisano szczegółowo przebieg wojny wietnamskiej oraz wykazano w tym udział USA.

Drugi artykuł pt. „Rozwój polityczny w Afryce” mówi o podziale kolonialnym Afryki między państwa kapitalistyczne, o walkach wyzwoleńczych i wydarzeniach politycznych w poszczególnych krajach.

Trzeci artykuł nosi tytuł „Uciśk kolonialny USA w Ameryce Łacińskiej”. Dowiedzieliśmy się z niego o politycznych wpływach USA na państwa Ameryki Łacińskiej, a szczególnie takie jak: Meksyk, Wenezuela, Porto-Rico i inne.

Wszystkie wymienione kraje są zakreślone na mapie, toteż od razu każdy może się zorientować, gdzie każdy z nich się znajduje.

Z ciekawej inicjatywy prof. dr Mikołajskiego warto wziąć przykład.

BOGDAN RÓŻAŃSKI
WSE — Szczecin



Czy wzięłeś już udział w wiosennej ankiecie POPROSTU? Pamiętaj! Redakcja czeka na Twój list, a na Ciebie czekają cenne nagrody!

List do Redakcji

Coraz lepiej

„Dużo zmieniło się w Domu Studenckim Akademii Medycznej w Białymstoku od czasu inauguracji roku akademickiego 1953 — 1954. Dzięki odpowiedniej inicjatywie i pracy nowego kierownika DS, ob. Piekarskiej, Rady Mieszkańców i wszystkich studentów zamieszkujących DS powstało u nas dużo nowych udogodnień gospodarczych i kulturalnych. W kiosku PSS oprócz galanterii i niezbędnych produktów żywnościowych, na półkach znalazły się zeszyty, atrament i inne materiały piśmienne. Uruchomiony został punkt usługowy pracowni szewskiej, który stał się naprawdę cennym obiektem dla mieszkańców DS. Nie muszą oni chodzić do miasta i długo wyczekiwać na naprawę butów; w naszej pracowni każdy interesant, załatwiany jest natychmiast.

Tu i ówdzie, a konkretnie w pokojach wyróżnionych w konkursie czystości, zaczęły pojawiać się głoszki. Tutaj dużą załugę położył kol. Antoniak, który wszczął również starania mające na celu wykorzystanie stojącego dotychczas bezużytecznie aparatu filmowego Akademii Medycznej. Wkrótce na ekranie zawieszonym w stołówce pojawiły się filmy oświatowe związane z kierunkiem naszych studiów. To jeszcze nie wszystko. W DS została otwarta świetlica, w której zjawili się szachi, warcaby a nawet czasopisma. Mamy też szereg mniejszych osiągnięć takich jak przydzielenie studentom kilku żelazek elektrycznych, jak to, że dziś mieszkańcy wiedzą, w jakich godzinach będzie ciepła woda, jak założenie na korytarzu telefonów. Już za kilka dni ma być oddana do użytku mieszkancom DS pralnia.

Administracja naszego domu nie poprzestaje jednak na tych osiągnięciach. Stara się w dalszym ciągu jak najbardziej udogodnić życie studentom. Mamy więc nadzieję, że także nasze bolączki, jak brak izolatki i opieki lekarskiej na terenie DS i brak punktu bibliotecznego również zostaną wkrótce usunięte.

R. RAMEL
AM — Białystok

Sprostowanie

W numerze 20/286 POPROSTU z dn. 18.V.54 r. w rubryce „Korespondent sygnalizują” w notatce zatytułowanej „Straszny Dwór” wkraśl się błąd. Zamist WSE powinno być WSP (Wyższa Szkoła Pedagogiczna).

A. Emme

NAUKA I RELIGIA
O POWSTANIU ŻYCIA
NA ZIEMI

Str. 160 zł 3.—

„KSIAZKA I WIEDZA”

W odpowiedzi na krytykę

W 18 (284) numerze POPROSTU zamieściliśmy list naszej korespondentki z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, kol. Małgorzaty Bujalskiej pt. „Zamiast szkolenia — szopka”. W liście tym zostało skrytykowane szkolenie, prowadzone przez koło zetempowskie II r. poionistyk.

W odpowiedzi otrzymaliśmy wyjaśnienie przewodniczącego Zarządu Uczelnianego ZMP kol. Jerzego Koniecznego, w którym między innymi czytamy:

„Artykuł stanowił pogłębienie oceny zebrań, jaką przeprowadził ZU ZMP Zarząd Uczelniany zwrócił uwagę na kolektywne przygotowanie zebrań, gdyż dotychczas zarządy kierunkowe „zapinają na ostatni guzik” tylko zebrania spraważadawco — wyborcze, inne traktując po macoszemu. Częściej będziemy analizować pracę grup studenckich a na jednym z najbliższych posiedzeń Zarządu Uczelnianego omówimy pracę koła II roku polonistyk, zapraszając na to zebranie organizatorów grup i przewodniczących zarządów kół kierunkowych.

Referaty na zebraniach przygotowywane będą przy udziale usystem-

tów i profesorów. Dla uatrakcywnienia zebrań korzystać będziemy z materiałów prasowych zamieszczonych w POPROSTU, „Trybunie Ludu” i „Życiu Szkoły Wyższej”.

W tym samym osiemnastym numerze POPROSTU korespondent Czesław Prochot skrytykował Zarząd Uczelniany ZMP przy Akademii Medycznej w Warszawie. Tym razem odpowiedź była nieco inna. Zamiast zastanawiać się nad krytyką np. pomocy ZMP dla kół naukowych czy AZS, o czym pisał kol. Prochot, koledy z Zarządu Uczelnianego wezwali go do siebie i najpierw zażądali wyjaśnień, skąd ma on te informacje, a następnie usiłowali przekonać naszego korespondenta, że krytyka jego jest niesłuszna.

Nam się jednak wydaje, że krytyka w liście kol. Prochota była w całości rozciągliwość słuszną i wymagała wnikliwego zbadania i zastanowienia się nad sposobem naprawienia błędów, a nie gotosłownego odparcia zarzutów. Jednocześnie przypominamy, że termin odpowiedzi na krytykę prasową upływa za 3 dni i że zarówno nasi czytelnicy jak i redakcja oczekują Waszego wyjaśnienia.

A NA UCZELNIACH NIE JEST NAJLEPIJ.

Świadczą o tym sygnały z uczelni, które sprawami praktyk zajmują się „po staremu”. Wygląda to mniej więcej tak: uczelnia zawiera umowy o praktyki z zakładami pracy, komisja przydziału praktyk wcześniej czy później ogłasza listy studentów z wyznaczeniem miejsca praktyki i... następuje długa przer-

REAKCYJNA NAUKA W SŁUŻBIE IMPERIALIZMU

M. Rubinsztajn — Reakcyjna burżuazyjna nauka i technika w służbie amerykańskiego imperializmu. Str. 488, cena — 11.50. „Książka i Wiedza”. Polska tłumaczenie książki wydanej przez Instytut Ekonomiczny Akademii Nauk ZSRR. Autor omawia w niej sytuację nauki i techniki w warunkach ogólnego kryzysu kapitalizmu, a z kolei demaskuje naukę burżuazyjną wysługującą się imperializmowi.

Ostatnia część pracy poświęcona jest omówieniu nauki i techniki w ZSRR. Autor stwierdza rozwój nauki i techniki w warunkach gospodarki socjalistycznej. Przegląd zadania nauki i techniki radzieckiej w walce o stworzenie materialno-technicznej bazy komunizmu. W zakończeniu Rubinsztajn podkreśla rolę przodującą nauki radzieckiej w walce o pokój.

wa do końca czerwca, lub początku lipca. Wtedy studenci pobierają z kwestury pieniądze i jadą do fabryk. W najlepszym wypadku odbywa się krótkie, formalne zebranie, na którym przedstawiciel komisji przydziału praktyk lub aktywista zetempowski powie w sposób bardzo ogólny o zadaniach praktyk itp. Dopiero w czasie odbywania praktyk przez studentów zjeżdżają się komisje kontrolne, które stwierdzają, że jest źle lub dobrze, piszą sążniste sprawozdania, które często trafiają do jakiegoś biurka i leżą spokojnie przez rok a nawet i dłużej.

— W ubiegłym roku — mówi towarzyszy jednej z egzektyw OOP Politechniki Warszawskiej — nawet zebrani nie było. Studenci wzięli pieniądze i pojechali. A skutki? Np. w Starachowicach bumelantwo i pijaństwo! W tym roku zamierzamy zorganizować zebrania, ale nie wiem czy nam się to uda.

POD ROZWAGĘ AKTYWOWI UCZELNI

Wyda się, że studentów trzeba wcześniej przygotować do praktyk. Jeżeli nie robiło się tego w ciągu roku, to przynajmniej w miesiącu czerwcu.

Ma tu szerokie pole do działania komisja przydziału praktyk, orga-

nizacja partyjna, zetempowska i zetepowska. Komisja przydziału praktyk winna wcześniej dokładnie uzgodnić z zakładem pracy harmonogram praktyk i omówić go ze studentami.

Organizacje młodzieżowe powinny politycznie przygotować studentów do obowiązków jakie czekają ich na praktykach.

A form pracy jest dużo. Czy nie można by wydelegować przedstawicieli grupy praktykantów do zakładu, w którym studenci będą odbywali praktyki, dla zorientowania się w problemach danego zakładu i następnie omówienia ich na grupie? Czy nie można by zorganizować krótkiej dyskusji na temat zadań praktykanta w zakładzie pracy? Czy nie można by ożywić gazetkę ściennych ciekawymi artykułami na ten temat, lub wykorzystać radiowęzły?

Wspomniane przykładowo formy świadczą, że możliwości wcześniejszego przygotowania studentów do praktyk wakacyjnych są duże. Nie można ich zmarnować. Zakłady pracy bowiem i studenci muszą wynieść jak największe korzyści z wakacyjnych praktyk.

WŁODZIMIERZ GODEK

Czy będą w terminie?

(Dokończenie na str. 1)

troski o należyte zaopatrzenie budów w sprzęt techniczny. Oto przykłady:

W Warszawie przy ul. Sandomierskiej ZBM 6 rozpoczęło roboty w połowie grudnia ub. r. W styczniu 1954 ZOA wystarał się o przydział energii elektrycznej. Nikt natomiast nie zastosował się o zainstalowanie transformatora. Brak transformatora tylko do pierwszych dni maja spowodował miesięczne opóźnienie w harmonogramie robót.

Na budowie przy ul. Ks. Janusza ZBM 4 planowało użycie dźwigu SBK — 1, który po dwuletnim przebywaniu w remoncie (!) w Centralnych Warsztatach Sprzętu w Sosnowcu został przywieziony 6 lutego 1954 na plac budowy. Dźwig leżał spokojnie na placu i nikt nie zainteresował się, czy przyszedł z remontu w porządku, czy w razie potrzeby będzie go można wykorzystać do pracy. Dopiero w maju, kiedy wznosiły się już mury pierwszego piętra, zrobiono alarm. Dźwig nie można było ani zmontować, ani uruchomić. Powodem tego był brak schematu zmienionej instalacji elektrycznej, nikt nie wiedział jak dźwig podłączyć. Skutki — wiele dni opóźnienia robót.

Podobnych wypadków można by przytoczyć wiele. Zwróćmy również uwagę na inny moment. Kto bar-

dziej powinien być zainteresowany w terminowym oddaniu do użytku domów studenckich jak nie inwestor — Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, Delegaci MSW w terenie i ZOA? A tymczasem, delegat Ministerstwa SW w Krakowie, ob. Józwiak, nie tylko nie wykazuje żadnej troski o nowe domy studenckie, ale nawet nie potrafił na nasze pytanie dokładnie odpowiedzieć kto jest wykonawcą tych budów!

WZMÓŻMY WYSILKI

Zdajemy sobie sprawę, że na tych budowach, na których harmonogram robót zostały poważnie opóźnione z różnych powodów — a nazwijmy je po imieniu — po prostu z niedbalstwa, nielato będzie nadrobić stracony czas. Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, ZOA, a zwłaszcza Ministerstwo Budownictwa Miast i Osiedli muszą sobie zdać sprawę i nareszcie przejąć się faktem, że pierwszego września br. przyjdą do wyższych uczelni tysiące nowych studentów, i że trzeba dla nich przygotować ponad 10 000 miejsc w domach studenckich. Nie znajdziemy usprawiedliwienia, jeżeli zakwaterowanie studentów należyście się nie przygotowuje, jeżeli nie realizuje się tej serdecznej troski państwa ludowego o studentów i młodzież.

Studenci uczelni technicznych i innych gotowi są w okresie waka-

cji przyjąć załogom budów z realną pomocą.

W Warszawie Komisja Okręgowa ZSP oraz Rektorat Politechniki Warszawskiej zorganizują w miesiącach wakacyjnych brigady kwalifikowanych murarzy, tynkarzy i brigady pomocnicze. ZBM 7 i ZBM 4 otrzymają więc konkretną pomoc.

Słuszne będzie jeżeli i inne środowiska, a zwłaszcza takie jak Kraków, gdzie terminy są mocno zagrożone, pójdą w ślad warszawskich kolegów.

Słuszną jest też inicjatywa nawiązania stałego kontaktu między studentami danego środowiska, a załogami poszczególnych budów. Studenckie zespoły świetlicowe mogą w dużym stopniu przyczynić się do mobilizacji załogi celem przyspieszenia wykonania robót.

Występujemy do wszystkich zainteresowanych: do inwestorów, do studentów, a zwłaszcza do wykonawców podległych Ministerstwu Budownictwa Miast i Osiedli z gorącym apelem. Stwórzmy dookoła sprawy budowy domów studenckich atmosferę pełnej mobilizacji. Przygotujmy na czas dobre kwatery dla studentów I roku. Zdokumentujmy nasze zrozumienie uchał II Zjazdu PZPR.

Z wrocławskiej Spartakiady

Maj obdarzył nas w tym roku piękną, słoneczną pogodą. Zaledwie się parki i skwery, na stadionach i boiskach sportowych zaczęły się ożywiać, wiosenny ruch.

Wszystkie kółka AZS rozpoczęły intensywne przygotowania do IV Akademickich Mistrzostw Polski. Na uczelnianych Spartakiadach rozgorzała walka o metry i sekundy, o prawo reprezentowania swego Koła na poznańskich mistrzostwach.

W tym roku kółko AZS przy Uniwersytecie im. Bolesława Bieruty we Wrocławiu pokusiło się o miano najlepszego organizatora uczelnianej Spartakiady. Udział 1000 zawodników, pełne trybuny widzów, sprawna organizacja poszczególnych konkurencji, niezłe wyniki — to wszystko sprawiło, że ta wspaniała impreza pozostała na długo w pamięci studentów wrocławskiego Uniwersytetu. A taka atmosfera panowała na stadionie! Takiego dopingu, takiej koleżeńkiej postawy i tak wysokich ambicji zawodników już dawno nie

było na studenckich zawodach we Wrocławiu. Tutaj również należało się słów uznania organizatorom, a było ich wielu. Począwszy od Rektoratu reprezentowanego przez prorektora prof. dr. Fieme, który dokonał otwarcia zawodów, przez Komitet Uczelniany PZPR, Katedry Naukowe, ZMP do KU ZSP i ZK AZS — wszyscy pracowali bardzo wydajnie, więc jasne, że zawody musiały wypaść „na medal”.

A wieczorem, kiedy już ucichł gwar na bieżniach i rzutniach, wszyscy przenieśli się na Polanę Łanowską, gdzie przy uroczystym ognisku nastąpiło wręczenie nagród. Najszczęśliwsi byli chyba prawnicy, którzy zdobyli puchar ufundowany przez Rektora Uniwersytetu im. Bolesława Bieruty prof. dr. Marczeńskiego. Zresztą nikt nie miał smutnej miny. Ci, którym w tym roku nie powiodło się, ostrzą zęby na następną spartakiadę. Więc... drzyjcie, mistrzowie.

Nasi profesorowie

— A ja wierzę w naszych kolegach... Zbaczcie, że na dalszych etapach utrzymuję czołową pozycję. Szkoda, że nie jestem młodszy — uśmiecha się prorok krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej mgr Władysław Tęcza — kto wie, czy pod wpływem Wyciągu Po-

koju nie zacząłbym jeździć na rowerze. To by już była dziesiąta uprawiana przeze mnie dyscyplina sportu.

— Jak to dziesiąta? — pytam. — A tak. Trzeba wam wiedzieć, że miałem w życiu kilkanaście zawodów i uprawiałem różne gałęzie sportu.

W szesnastym roku życia będąc już niezłym pływakiem zainteresowałem się lekkoatletyką, ale z chwilą rozpoczęcia pracy jako motorniczy i konduktor w Krakowskiej Spółce Tramwajowej przerzuciłem się na... boks. Stoczyłem w barwach „Cracovii” 48 walk, awansując od wagi piórkowej do półśredniej. Będąc motorniczym zetknąłem się z związkiem zawodowym z robotniczym teatrem amatorskim. Zaczęłem studiować filozofię, interesowałem się astronomią, biegałem na 800 m i 400 m przez 1 lotki, zdobyłem nawet tytuł przodownika ćwiczeń cięlesnych. Ale byłem już „chory na teatr”. Mimo to zostałem nauczycielem — organizowałem w szkole kółka dramatyczne i dobieierałem sobie gałęzie sportu potrzebne do trudnego zawodu aktora. Za najodpowiedniejsze uznałem turystykę i taternictwo. Są to moim zdaniem sporty, które wybitnie wpływają na kształtowanie charakteru młodego człowieka — poza walorami fizycznymi uczą go pokonywać takie przeciwności jak czas, odległość, wysokość, hartują wolę i wytrwałość, budzą zapal do walki. A o tym, że aktor musi być człowiekiem spełniającym te warunki przekonałem się ostatecznie w roku 1945, gdy dopiąłem celu i wstąpiłem na deskę sceniczną.



w wielu wspinaczkach tatrzańskich, studiowałem teorię szachową. I kiedy już jako starszy pan objąłem stanowisko prorektora krakowskiej Szkoły Aktorskiej, zostałem opiekunem tutejszego Koła AZS. Ale moim „podopiecznym” to nie odpowiadało. Powiedzieli, że nie chcą opiekuna, który uważa się za starszego pana i... kazali mi zdobywać SPO. Co miałem robić... zdobyłem. Zaproponowali mi udział w Biegach Narodowych — uświadomiłem, że nie mogę, dopinguje ich gdzie mogę, wygrywam z kim mogę i po magam jak mogę. Rokrocznie biorę udział w mistrzostwach Szkoły w ping-pongu, od kilku lat jestem mistrzem Szkoły w szachach. Czuje się z roku na rok młodszy i to jest dla mnie największą radością. Teraz szukam jakiejś dyscypliny sportu, którą mógłbym uprawiać, gdy dojdę do... 80 lat. Film Polski podsunął mi rybołówstwo, obdarzając mnie w filmie „Pościg” rolę sabotażysty łowiącego ryby, ale ponieważ rektor Burnatowicz zobaczywszy fotos powiedział, że trzymam wędkę „bez pojęcia”, zrezygnowałem. Podobno kolega gra w szachy — może zagramy partyjkę?

Dostałem sześć matów pod rząd.

Rozmawiał ANDRZEJ GABRYS



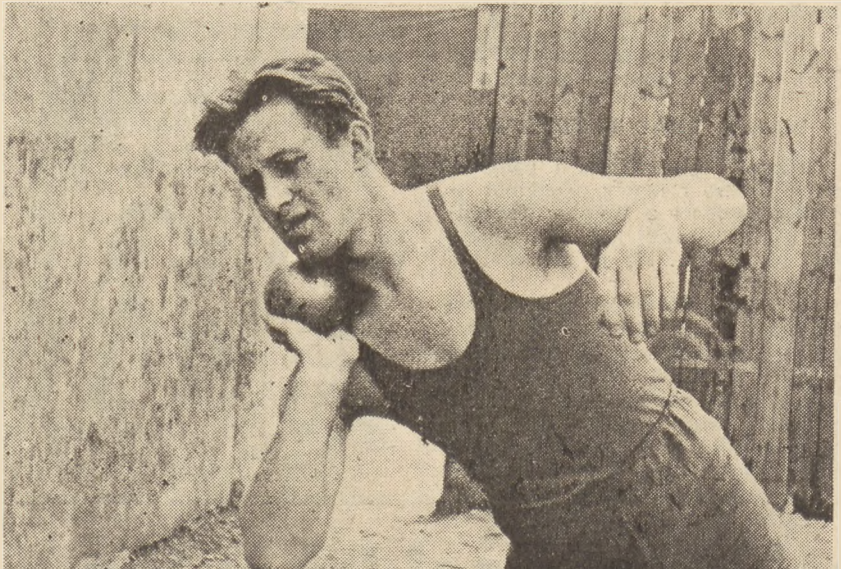
Po przemówieniu prorektora prof. dr. Fiemy, kolumna zawodniczek otwiera defiladę sportową, w której wzięło udział przeszło 1000 studentek i studentów.



Przyroda „przewala” z prawem meczu w siatkówkę mężczyzn. Przyrodniczy i tu przyszedł w sukces bijąc prawników 2:0. Więc górą dziewczęta.



Minę ma zupełnie jak... Zatopek. Nic dziwnego — bieg na 400 m wymaga wielkiego wysiłku, tym bardziej jeżeli przebiegnie się ten dystans w 55,0 sek. i tak wyprzedzi się swoich przeciwników jak to zrobił kol. Sztydlowski.



Prawnicy przenieśli się na rzutnię, aby oklaskować Zbyszka Bańkosa, który wynikiem 11,76 wygrał pchnięcie kulą.



„Szkoda, że państwo tego nie widzą... nasz mistrz wspaniałym żywym minął przeciwnika i nieuchronnie zbliża się do mata — powiedziałaby zapewne popularny sprawozdawca sportowy Dobrowolski. Zryw nie widać, ale kol. Trzybuna z wydz. mat-fiz. zwyciężył w tej partii.

na podstawie korespondencji kol. Jana Broła Uniwersytet Bolesława Bieruty we Wrocławiu opracował A. G. Foto T. Drankowski.

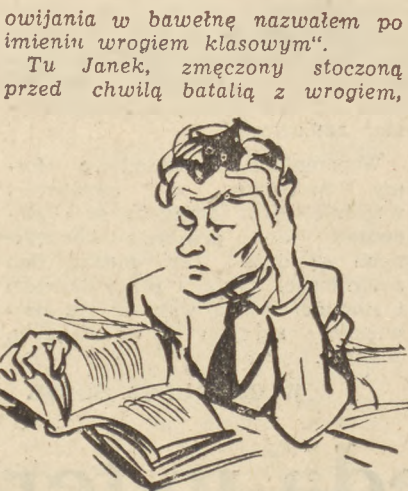
POKRZYWI

ZDZISŁAW ROMANOWSKI

RENTIER

Janek, odwieczny i zasłużony lektor Zarządu Dzielnicy, z radością dowiedział się, że ma przeprowadzić szkolenie na I grupie III roku chemii. „Znam ich, pierwszorzędną element, prowadziłem tam szkolenie dwa lata temu, dyskutuję aż serce rośnie, konkretnie, ciekawie...”

Tym większe było zdziwienie przewodniczącego, gdy nazajutrz Janek wpadł jak bomba — głos dziki, włosy w nieładzie... Już od progu krzyczy: „Ale u nas panuje ślepotą polityczną, towarzyszu przewodniczący! Jak mogliśmy tak wysoko oceniać tę grupę: jawna wrogość! Chcieli mnie, aktywistę od dziecka, lektora ZD skompromitować, wykończyć perfidnymi pytaniami. Całe szczęście, że ma się to doświadczenie, zaraz ich przegasię, gdy tak prosto w oczy, bez



osunął się na krzesło. Niech ktoś w międzyczasie skoczy po walerianę, a my zobaczymy, jak wyglądał przebieg szkolenia.

kład przyjaźni daje Newerly w powieści pt. „Pamiętka z Celulozy”, która ostatnio ukazała się na półkach księgarskich”. Po godzinie twórczego rozwadniania problemu przyjaźni, Janek zadowolony z siebie i trochę zachrypnięty zamknął zeszyt. I...

„Wtedy właśnie wystąpił perfidny wóg zadający podstępne pytania. Najpierw Maryna, mąż zaufania o zielonych oczach, poprosiła go, by wypowiedział swój osobisty pogląd w sprawie, nad którą dyskutuje cała grupa: „czy postać Szczęsnego jest dobrze oddana w filmie?”

Później Jurek, organizator grupy, miał wątpliwości czy cytowany przez prelegenta wiersz: „Trzeba z żywymi naprzód iść...” został napisany przez Mickiewicza? — „Ja tylko tak w formie pytania, bo przecież kolega z ZD studiuje polonistykę, więc na pewno zna literaturę lepiej ode mnie.”

Janek widzi, chociażby to pierwsze pytanie perfidnie godziło w lektora, bo Janek od 1951 roku nie miał czasu chodzić na filmy i czytać książek. Ciągłe prowadził szkolenie na temat: „Przyjaźń i koleżeństwo”. Obudź go w nocy, a wyrecytuje ci jak płyta dowolny fragment.

Zresztą, w ostatnim czasie i jego ogarniały coraz częściej zawodowe, polonistyczne wątpliwości w rodzaju, czy „Wróciłem z USA” napisał Ehrenberg czy Erenburg? Pocięszai się jednak: „Wiedza to rzecz nabyta, dzisiaj nie ma a jutro będzie, ale na terenie ZD jestem nie do zastąpienia. Wygłosiłem już sto pogadań o przyjaźni i koleżeństwie. — Przy sto pięćdziesiątej urzęduję mi chyba jubileusz.”

Był bardzo zdziwiony kiedy na plenum ZD skrytykowano go jako przykład działacza „rentiera”, żyjącego z tego, co zebrał dawniej. Wróciwszy po plenum do domu machnął swój ceratowej zeszyt i wyciągnął czysty. Na okładce napisał: „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty”.

Bija, psia kość, za nieuctwo, nawet aktywu.

Uwaga — Konkurs!

Ogłaszamy konkurs na najdowcipniejszy podpis do rysunku Ładno. Podpis może być prozą lub wierszem — najważniejsze, aby był dowcipny. Dla autorów, którzy nadesłali najdowcipniejsze, najbardziej pomysłowe podpisy przeznaczymy liczne nagrody. Najlepsze podpisy będą drukowane i honorowane.



JAN BESTER

Redaktor

(wierszyk rozbrajająco-szczery)

„Strach wspominać, co za cymbał! Ze się taki zdarza jeszcze... Ja-bym sobie z niego bimbał, Ale to już budzi dreszcze:

Zgryź, oślinił każdy wyraz! Zle dla niego to i tamto! Długo-ż będzie moja lira Padać pastwą ignorantów!”

Przemierzając piętra, schody, Tak myślałem w złym humorze O niewdzięcznym redaktorze, Co odrzucił moje plody.

„— Jak szlachetnie skrzy się oko Spod schylonych na pół powiek! Ileż w sobie ma uroku Ten niezwykle, mądry człowiek!

Jakże łączy wdzięk z prostotą, A z talentem doświadczenie! Jakim znawcą jest przedmiotu I jak trafnie mnie docenił!”

Goniąc, krzesząc iskry z bruku, Tak śpiewałem w innej porze O tym samym redaktorze, Gdy mój wierszyk dał do druku.

Wy tłumaczcie, jak tam chcecie Zmienną sądów tych dwojakość. Różnie to jest, gdy poecie Nie przechodzi ilość w jakość.



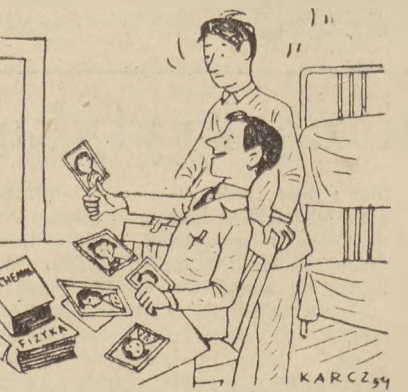
— A widzisz, on mówi, że o nim pisał Fredro, nie Mickiewicz.

NIKTÓRYM LITERATOM



rys. Jerzy Cwiertnia

— Syneczku, co ty robisz? — Walczę z nudą, mamusi!



Poezja, co?

BOGUSŁAW WOJNAR

Bywają i tacy czytelnicy...

Spytałem o „Pamiętkę z Celulozy”, Jemu się w oku zakręciła lezka. — Mam, mam! — wykrzyknął, po czym położył Małego z celulozoidu pieszka.



rys. Jerzy Karcz

— Kolega to prozak? — Koleżanka się myli, jestem chemik,

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”
Redaguje kolegium
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul. Wiejska 17/1. Telefony redakcyjne — 841 24 Centrala 832 91
Prenumerata: w urzędzie pocztowym najbliższym niżej: za miesiąc 1,40 zł, kwartał 4,20 zł, półrocze 8,40 zł, rocznie 16,80 zł
Administracja: RSW „Prasa” ul. Długa 3 tel. 807 11
Drukarnia: RSW „Prasa” Warszawa, Marszałkowska 3/5. 5-B-15812